№ 13 Warszawa, dnia 15 (27) Marca roku 1880.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi w LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart w miejscu zlr 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

Podróż do kraju Cyganów,

PRZEZ

Wiktora Tissot.

(Dalszy ciąg).

Tissot zatytułował dzieło swoje o Węgrzech, *Podróżą po kraju cyganów*, zkąd zapewne że w żadnym z krajów europejskich, liczba tych koczowników nie jest tak wielką stosunkowo, jak na ziemi węgierskiej. Liczą ich do 150,000. Ci wieczni tułacze, bez dachu i ogniska, obojętni od wieków na postęp cywilizacyi, rozmiłowani w próżniactwie i włóczędze uważają się w Węgrzech jakby w ojczyznie własnej, tu bowiem większej niż gdziekolwiek bądź używają swobody. Opieka jakiej tu doznają dawnych już sięga czasów. Zobaczmy jak autor jednym pociągiem pióra, kreśli ich pięciowiekowe dzieje nad Cissą i Dunajem.

W początkach piętnastego wieku, ujrzano po raz pierwszy, nad brzegami Maroszu i Cissy, te gromady ludzi odrębnych postawą, ogorzałych od słońca, z długim, kędzierzawym włosem, z okiem pełnym tajemniczego blasku.

Król Zygmunt (cesarz niemiecki) przyjął ich gościnnie, dał im gleit pozwalający przenosić się z miejsca na miejsce, ze stadami osłów i koni, pod dowództwem zwierzchników zwanych wojewodami. Polatyn węgierski polecił również miłosierdziu mieszkańców ten ubogi lud, bez ojczyzny, którym w innych krajach nielitościwie pomiatano.

Zkąd przybywali ci koczownicy? było to dla wszystkich tajemnicą. Jedni wyprowadzali ich z Egiptu, klasycznego kraju zabobonów i czarodziejstw, z miasta Singara w Mezopotanii: drudzy widzieli w nich szczątki hord tatarskich, wypędzonych z Azyi przez Tamerlana.

Dzisiejsze badania wyśledziły lepiej ich początek, uczeni jednomyślnie wyprowadzają ich z Indostanu. Jakoż język cygański dziwnie podobny do niektórych narzeczy sanskryckich, mianowicie z okolic Malabaru i Bengali. Heber biskup gallikański w Kalkucie, spotkał u brzegów Gangesu obozowisko cyganów indyjskich, którzy mówili tymże samym językiem, jak bracia ich w Europie. Fizyczne podobieństwo jednych do drugich zwróciło też uwagę biskupa, równie jak sposób życia i obyczaje. Cyganie europejscy tem samem oddają się rzemiosłom jak Paryasy w Indyach. Że należą do klassy uciśnionej świadczy o tem sam język; brak im wyrazów na określenie szczęścia, dobrobytu bogactwa, pomyślności; przeciwnie zaś mają wyrazy oznaczające boleść, żałobę, trwogę i wszelkie udręczenia.

Niegdyś Cyganie węgierscy mieli czterech przewódzców czyli wojewodów: ci przebywali w bliskości miast Raab, Lewencz, Szalmar i Koszyc. Tam to wszystkie bandy zbierając się około wodzów swoich, odbierały od nich rozkazy.

Obiór wojewody odbywał się na prawie powszechnego głosowania. Gdy oznajmiono imię wybranego, tłum odpowiadał grzmotem oklasków; gędźbiarze uderzali w skrzypki i basy; wówczas kładziono na głowę nowego wojewody trójgraniasty kapelusz wyszywany srebrem, godło najwyższej władzy. Podawano mu dzbanek pełen wina, przystrojony kwiatami. On spełniał go do dna i rozbijał o ziemię. Prawił potem długą oracyą do zgromadzonych, zalecał im poszanowanie prawa. Gdy skończył każdy z podwładnych ściskał mu rękę na znak powolności. Zebranie kończyło się ucztą i tańcami. Obecni powtarzali chórem:

O baradir czaczopaskero,
A czas raha deszczi do!

Co znaczy: Niech nasz wódz żyje w jak najdłuższe lata!

Władza wojewody była nieograniczoną: miał on prawo życia i śmierci nad podwładnymi. Dziś powaga ta znacznie upadła.

Siedmiogród osobnego miał zwierzchnika. Cyganie tamtejsi zajmowali się płókaniem złotego piasku, każdy z nich płacił wojewodzie podatek w ilości guldena.

Powoływani do służby wojskowej, cyganie nie mieli upodobania w tym zawodzie; żołnierze z nich nie szczególni, za to obowiązki szpiegów podczas wojny, spełniali z nadzwyczajną zręcznością. Pomagały im do tego: bystry słuch, wyborna pamięć i doskonała znajomość kraju. Zachowana przecież tradycya, przypomina wielką ich odwagę, w walce o niepodległość Węgier. W roku 1557, Perengi powierzył im obronę warownego zamku Nagy-Zda. Walczyli tak dzielnie, że nieprzyjaciel zmuszony był odstąpić. Upojeni tryumfem, dalejże głosić że gdyby nie zabrakło im ładunków, noga turecka nie byłaby uszła z pod zamku. Drogo Cyganie okupili te niewczesne przechwałki! Turcy uwiadomieni o tem, uderzyli powtórnie na zamek, zdobyli go szturmem, wymordowali nieszczęśliwą załogę. Z tysiąca obrońców ani jeden nie został. Co rok odtąd cyganie z wyższych Węgier, obchodzą smutną rocznicę klęski, przy głośnym jęku i płaczu, wygrywają żałobnego marsza na cześć poległych. Marsz ten znany Nagi Idaer, mało znany w ogólności, prawdziwem ma być arcydziełem. Nie grają go nigdy na publicznych zebraniach. Widziano nieraz cyganów, jak przy tym obchodzie żałobnym, rozbijali skrzypki o ziemię, na znak przekleństwa i rozpaczy.

Rząd usiłował wielokrotnie przełamać ich koczownicze instynkta i zamienić w osiadłą ludność. Cesarz Józef II, kazał dla nich pobudować chaty, wydzielić im grunta, opatrzyć ich w dobytek. w zboże

na zasiew, i narzędzia rolnicze. Cyganie tymczasem, pomieścili w chatach swoje osły i bydło, sami zaś mieścili się pod namiotami. Aby zboże nie kiełkowało, zaparzali je wrzącą wodą. Niezrażony tem cesarz, postanowił bądź co bądź dać im zakosztować dobrodziejstwa cywilizacyi. Zakazał im używać własnego języka, zastąpić go niemieckim. Odebrał im nawet imię Cyganów: nazwał ich *nowymi chłopami.* Wreszcie z rozkazu cesarza odbierano im dzieci, mieszczono je u wieśniaków madziarskich lub u kolonistów niemieckich: ci mieli zaprawiać je wcześnie do pracy i trzymać w ścisłych karbach. Ale natura ciągnie wilka do lasu, małe cyganięta zachowały plemienny instynkt, za pierwszą sposobnością zbiegały do rodziców.

Wszekle zabiegi okazały się próżne. Nie przynęcisz cygana najświetniejszą obietnicą; woli on dzisiejszą wolność niż jutrzejszy dobrobyt. Zmysł koczowniczy przemaga u niego nad wszystkiem. Opowiadają w tym względzie mnóstwo charakterystycznych rysów.

Cygan jeden dosłużył się w wojsku austryackim stopnia wyższego oficera. Dnia jednego zniknął bez śladu. W pół roku potem, poznano go wśród bandy koczującej na stepie.

Młody wieśniak słowacki ożenił się z piękną Cyganką. Ilekroć opuścił chatę, żona uciekała do lasu, sypiała nocą pod gołem niebem, karmiła się jeżami, jak to bywało w dawnych tak miłych dla niej czasach.

Sławny fortepianista węgierski Liszt, upodobał sobie jakieś cygańskie chłopię, przywiózł je z sobą do Paryża, dał mu nauczycieli. Ale chłopiec znosić nie mógł warunków życia ucywilizowanego. „Zabrałem go do Wiednia, mówi Liszt, aby tam jeźli zechce połączył się ze swymi. Gdy ich zobaczył, radość jego tak była wielka, że odchodził prawie od zmysłów.“

Cygan nie znosi przymusu, wstrętne mu wszelkie karby, ograniczające w jaki bądź sposób, jego działalność. Zajęcia jakim oddaję się z upodobaniem, odpowiadają życiu tułaczemu. W obozie cygańskim znaleźć można zręcznych kowali i biegłych weterynarzy. Żebranina tak tu upowszechniona, że ci nawet których nędza nie zmusza do tego, wyciągają rękę po jałmużnę.

Jadąc gościńcem węgierskim, wśród lasu lub zarośli, widzisz nagle jak z po za drzew wyroi się cała chmara Cyganów, śniadych i kształtnych, istne posągi z korynckiego spiżu; biegnąc cwałem za końmi, nie ustąpią aż się okupisz datkiem.

Żony ich ciągną kabałę, sprzedają odwary i olejki. Lud wiejski przykłada wiarę do ich leków, wierzy niemniej w ich wróżby i zaklęcia. W mniemaniu wieśniaków, cyganie umieją zażegnać ogień, zabezpieczyć dom od pożaru, wskazać miejsca gdzie są ukryte zdroje, a nawet skarby. Wszystko to bardzo wątpliwe, co jednak umieją z pewnością, to staremu bronowłoce nadać pozór dziarskiego źrebca. Ztąd to cesarz Józef zakazał im stanowczo trudnić się handlem koni, prawo to poszło dzisiaj w niepamięć. Pokazywano mi w Szegedynie starego Cygana, który zarobił na koniach parękroć sto tysięcy guldenów.

Oprócz tego rodzaju oszustw na wielką skalę, które jednak nieczęsto się trafiają, zarzut złodziejstwa czyniony cyganom zda się być przesadzony. Przyciśnięci głodem, ukręcą czasami łeb cudzej gęsi, lub otrząsną jabłoń w ogrodzie, lecz na tych drobnostkach ogranicza się zwykle ich kradzież. Nie widziano nigdy cygana wśród bandy rozbójników. Niesłusznie też obwiniają ich o porywanie dzieci. Pocożby kradli cudze, skoro mają swoich aż do zbytku, i to nierównie dorodniejszych?

Gwałtowni z natury, za lada obrazą biją się zapamiętale między sobą. Wszystko co żyje, kobiety, dzieci, psy nawet, biorą udział w zaciętej bójce.

Niekiedy wyzywają się pojedyńczo na noże lub sztylety. Występując do zapasu, zdejmują całkiem odzież aby ją zaoszczędzić. Największa obelga gdy jeden drugiemu powie: „skryj się pod fartuch żony“. Taką zniewagę, krwią tylko można obmyć. Zgoda jednak rychło powraca: chęć zemsty zupełnie im obcą.

Mimo głodu, nędzy i tysiącznych utrapień, nigdy Cygan nie dopuszcza się samobójstwa.

Między sobą lud ten używa własnego języka, przyniesionego niegdyś z pierwotnej kolebki, mieszają do niego wiele obcych wyrazów. Z łatwością uczą się cudzej mowy, zachowują przecież odrębny sposób wymawiania: dźwięki ich syczące i gardlane.

W skutek poniewierki i nędzy mnóstwo dzieci cygańskich umiera zaraz po urodzeniu. Wszystko pada co słabsze, co niezdolne do walki z życiem. Ztąd niezwykły hart w tych którzy przetrwali pierwsze próby. Żadnym też nie ulegają chorobom; epidemia wcale ich się nie czepia, nie widziano Cygana cierpiącego podagrę lub reumatyzm. Umierając w zgrzybiałym wieku. W wypadku słabości odrzucają wszelkie lekarstwa, używają tylko wódki, cebuli i szafranu. Rany ich goją się zawsze bez opatrzenia.

Wzrost Cygana zazwyczaj średni. Pod cerą śniadą niemal brązową, niedopatrzyć najmniejszej żyłki ni gry muszkułów. Twarz blada nigdy się nie zarumieni, nawet pod skwarem słońca, ani w zapędzie gniewu. Kształt jej tworzy regularny owal. Oko czarne, głębokie, ocienione długą rzęsą, wyraz ma dziki i smętny zarazem. Usta pięknie zacięte, zęby drobne nadzwyczaj białe, mimo nadużycia tytuniu. Wszyscy tu palą fajkę nie wyłączając kobiet i dzieci. Nieraz bywało, że cygan skazany na szubienicę, prosił o fajkę na chwilę przed spełnieniem wyroku.

Pod względem psychicznym, niemniej wybitna osobistość cygana. Lekki, zwinny, pełen życia, humor ma częstokroć wesoły, pojęcie bystre, wyobraźnię bujną. Przeniknie on na wskroś ludzi z którymi żyje; zna ich słabości, szydzi z nich potajemnie. Przytomność umysłu, pozwala mu wyjść nieraz z trudnego położenia.

Jeden z nich powołany do poboru stawił się przed urzędem. Obok niego stanął syn bogatego młynarza, widocznie protegowany. Biednemu Cyganowi biały mundur nie przypadł wcale do smaku. Serce biło mu na gwałt gdy przystąpił do urny w której były dwie gałki, przeczuł widocznie jakiś podstęp.

— Wybierz gałkę, rzecze doń urzędnik.

— Co? ja mam być pierwszym, ja biedny Cygan, zawoła odstępując parę kroków, to nie wypada, coby powiedział ten panicz i wskazał młynarczyka.

— Czyń co każę, zawołał urzędnik stanowczym głosem.

— Nie mogę! prędzej mój koń zmieni się w osła, niż ja się dopuszczę takiej zuchwałości.

— Weź gałkę przebrzydły cyganie! krzyknął poborca, inaczej źle będzie z tobą. To rzekłszy ukazał na gardło.

Cygan wyciągnął rękę, pochwycił gałką, ścisnął w pięści, żeby jej nik nie widział, poniósł do ust i połknął.

Obecni wzięli go za waryata. Urzędnik ryknął z gniewu. Cygan tymczasam odzyskał zupełną przytomność

„Ja wyciągnąłem już moją gałkę, rzecze najspokojniej, teraz kolej na pana młynarczyka. Jeźli ta będzie biała, rzecz widoczna iż moja była czarną.“

Młynarczyk wyciągnął czarną gałkę; obie były jednakowe. Przezorny Cygan uwolnił się od służby.

Prawo gościnności, jakiego używają w Węgrzech Cyganie, nie zapewnia im przecież żadnych praw politycznych. Uważani tu zawsze jako przybłędy, jako wyrzutki społeczeństwa. Na ostatnim kongresie statystycznym w Peszcie, hr. Eugeniusz Zichy, w imię nauki i w imię ludzkości, odezwał się gorąco przeciw takiemu wyłączeniu Cyganów, w kraju gdzie tak silnie spoili się z narodem. Sądzimy jednak że wiele wody upłynie jeszcze, zanim wniosek hr. Zichy nabierze mocy prawa. (d. c. n.)

SIELANKA.

Przed kilku laty, młodym jeszcze bardzo, pełnym poezyi i uniesień studentem, przepędzałem ferye w pięknej okolicy Nadniemeńskiej. Wieśniaka zamknąć w dusznej atmosferze miejskiej, kazać mu żyć wśród murów i bladych twarzy, to skrzydła obciążywszy ptakowi, lotu go pozbawić. Otóż i ja gdym po roku coś przeszło niewoli, znalazł się wreszcie na wsi u krewnych, odetchnąłem całą piersią. Rozłogi pól, tajemniczy szmer lasów, przemówiły do mnie znajomym dobrze językiem wspomnień. Nadniemeńskiej okolicy nie brakło sąsiedztw, wujostwo jednak na dorobku, nie mieli licznych stosunków. Było mi to po myśli, nie tęskniłem do ludzi, świat mój maleńki uosabiał dworek. Wesołą rozbrzmiewał on piosenkę, a krzątały się w nim trzy nadobne gracye, przyświecając domowej strzesze niby gwiązdki promienne. Miłe to były stworzeńka kuzynki te moje, lecz najbardziej za serce mię jakoś chwyciła najmłodsza z nich, Frania. Dziewczę siedmnastoletnie, jak różany uśmiech zorzy, wesołe, szczebiotliwe, roskoszne, mogło się podobać nietylko takiemu jak ja trzpiotowi. W oczach jej jak lazur południa, błękitnych, swawolnych i żywych, szczęście i dziecięca jakaś niefrasobliwość przeglądały, w rumianej twarzyczce przedziwnie kąpała się świeżość, zgrabne, malutkie usteczka wiele obiecywały słodyczy. To też od pierwszego spotkania naszego, od pierwszych błysków złotawej źrenicy dziewczęcia, pierwszego drobnej rączki uścisku, coś mi tam w piersi trochę inaczej niż przedtem kołatało. Pamiętam, witając mię, kuzynku, rzekła, jakiś ty dobry, żeś nas sobie przypomniał. A wyglądałyśmy też ciebie, jak szczęścia z za gór, opowiadałyśmy sobie o Czesiu naszym. Andzia utrzymywała żeś pustak, Joasia sensata widzieć w tobie chciała, ja... mówiłam, zobaczymy... a w duchu stroiłam cię w najpiękniejsze marzenia młodej dziewczyny. Cóż robić? tak ci jakoś poczciwie z oczu patrzy na tej fotografii, coś ją nam z Warszawy przysłał, pamiętasz? i oczki jej się śmiały cudnym jakimś, nieujętym uśmiechem.

— Prześliczne dziecię, pomyślałem sobie, toć nie w cieplarni wyhodowany, lecz swojski nasz, pełen krasy i wdzięku kwiat, i dorzuciłem głośno i cóż, omyliłaś się kuzynko? ideały nie wyrastają jak grzyby po deszczu?

— Ideały? trzęsąc filuternie główką szepnęła. Któż o tem mówi? Są jednak dobrzy chłopcy po świecie.

Spuściłem oczy w ziemię mieszając się sam nie wiem czemu.

— Nie słuchaj jej kuzynku, przerwała Andzia, wieśniaczki z nas, to prawda, wiemy jednak co o was trzymać, panowie Warszawiacy.

— Komplementa zrazu, grzecznostki i dusery, to wasza strategia. A niechno tylko uwierzy biedne dziewczę, przepadła; za serce szyderstwem płacicie, dorzuciła Joasia.

— Ależ siostrzyczki, pomawiacie nas niesłusznie. Będę się kłócić, a zobaczycie kto wygra! broniłem się napadany.

— Będziesz się kłócić? miejski gagacik! ciekawam! szczerzyła ząbki piękna Frania. Kłóćże się sobie później, tymczasem powiedz nam co o Warszawie.

— Ależ tak, mów jak tam żyjecie, powiedz, zmiłuj się, co porabiacie, jakie tam macie rozrywki? okoliwszy mię wieńcem, jedna przed drugą szczebiotały kuzynki.

Z niekłamaną werwą i humorem, błyskotliwie syreni malując gród, opowiadałem dziewczętom o teatrze, koncertach i różnych przyjemnościach miasta.

— Powieści Secharyzady, krzyknęła Frania, z „Tysiąca i jednej nocy“ kuzynku? Chciałabym poznać Warszawę... Mój Boże! wielkiegom nigdy jeszcze nie widziała miasta... tylu naraz ludzi...

— Byłaś przecież w Wilnie z mamą, wtrąciła Andzia.

— Byłam... i cóż mi z tego? W Wilnie cicho, ponuro jak w grobie.

— Wilno, to Panteon nasz, reflektowała siostrę Joasia, co tam wspomnień na każdym kroku, ile pamiątek!

— Tyś była w Birsztanach, w Kownie, widziałaś morze w Libawie, ja zostawałam w domu jak na pokucie, nieprawdaż? W nagrodę wzięto mię do Wilna. Wielkie mi święto! Mama miała interesa, biegałyśmy tylko za sprawunkami po Niemieckiej ulicy, nachmurzyła się Frania. Tyś przynajmniej świata się przypatrzyła większemu.

— Wcale mię on nie zajął, nic mię tam nie pociąga, zawołała Joasia. Wilno, to co innego... tylem się o niem nasłuchała od pana Teofila...

— Pan Teofil rozmiłowany w pamiątkach, ty znowu Joasiu, latasz po gwiazdach... ujęła się za Franią najstarsza z sióstr i uśmiech jakiś ironiczny przebiegł jej usta. Jak sobie chcesz, zresztą. Lizdejko, wykładający znaczenie snów Gedyminowi, nie przeszkadza walczykom lub kadrylowi w Birsztanach...

— Ależ naturalnie, żywo podchwyciłem, w wieku naszym, siostrzyczki, buduje się zamki na lodzie, śpiewa się, tańczy i kocha.

— Kocha? powtórzyła z dziwną jakąś tęsknicą Joasia, chociażby tylko marzenie?

— Wiecie co? przerywając kuzynce, zawołałem, piękna Warszawa, miłe Wilno, najmilsza mi jednak wieś z chylącym się ku ziemi kościołkiem, z słomianą strzechą szlacheckiego dworku, z grządkami malwy i astrów w ogródku... A dziewczęta, jeśli już kochać to tylko wieśniaczki...

Głośny śmiech przerwał moją tyradę. Bylibyśmy jednak i dalej wiedli rozhowór, gdyby nie ukazanie obojga wujostwa. Skrzyżowała się jakoś rozmowa, co krok sprzeczne z sobą spotykały się pytania. Musiałem wysłuchać tysiąca narzekań, mówiono o deszczu i o pogodzie, niepokoił się wujaszek o sianokosy, szeroko rozwodził o żniwach i t. d.

— No panienki, ozwał się wreszcie dó dziewcząt, macie tu chłopca... bawić że mi go, aby się nie nudził... i zwracając się do żony, z uśmiechem dodał, a niech też jejmość pamięta, że u nich tam na Mazurach byle czem żołądka nie okpi...

Pamiętała też o mnie poczciwa wujenka „robaczek“ jej opływał we wszystko, na co litewskiej stać gościnności...

Kiedyś wieczorkiem, zagaił mię znowu wujaszek:

— A co *mileńki*, żyjemy tu sobie jakoś... co? hę?

— Ależ Raczki to prawdziwe Eldorado dla mnie, com za wsią stęskniony! rzucając się w objęcia starca, zawołałem radośnie. Wujaszku, w raju nie byłoby mi lepiej jak z wami! Zwierzyny huk w boru, a i z wędką jest za czem pochodzić nad stawem.

— Tylkoż ostrożnie, mój Czesiu, z uśmiechem wtrąciła stojąca na uboczu Frania, litewskie bory pełne niedźwiedzi, w rzekach naszych zdradne przemieszkują Ordyny...

— Ordyny? czerwieniąc się zlekka odrzekłem, chciałbym się z którą spróbować raz chociaż w życiu...

— Ejże, pożałowałbyś kuzynku... dziwnie jakoś odrzekła.

— Nie znasz mię jeszcze Franiu, żywo odparłem, walka mię nie odstrasza... chyba z pięknym buziaczkiem... Tu już zginam kolano, boć nie masz przyłbicy w obec modrych ślipków... i raptem urwałem, czując że mógłbym powiedzieć za wiele.

— Szydło z worka... a co? zawołała, ma słuszność Joasia, komplementa tylko u was na ustach, panowie Warszawiacy.

— A co, widzisz mileńki, jak się to buzia rozwiązuje, trącając mię w łokieć, zaśmiał się Wujaszek.

— Prawnuczki Ewy... zwyczajnie... szepnąłem, zerkając ukradkiem w figlarne oczęta Frani.

Swawolniczka, nadstawiając do pocałowania oba rumiane policzki, przymilała się tatusiowi.

— Słodkiż twój buziak, żartował sobie starzec.

— Tatuńciu! szepnęło coś dziewczę na ucho.

„A przyjechać do niej trudno.

„A odjechać od niej nudno“. Znasz ty Franiu mazurską piosenkę, co? gadaj mi zaraz, szlarko ty jakaś.

— Troszkę, tatuńciu, gdzieś ją niby słyszałam... jąkała się filutka.

— Poproś tylko Czesia, a całą ci ją przyśpiewa, nieprawdaż synku? zwrócił się do mnie z jowialnym gestem.

Szkarłat oblał mię całego.

— Tra, ra, ra, rady z wami nie masz, pomiarkował się Wujaszek, to mi dopiero młodzież...

Frania zawisła na jego ramieniu.

— Dziecko moje—mówił do szepczącej mu wciąż dziewczyny—chłopców jak piasku w morzu po świecie. Jeszcze i królewicz na twoje przyjdzie podwórko... jak z bajek... zobaczysz...

— Dałbyś też pokój, mężu — drepcząc z pękiem kluczów po pokoju, fuknęła Wujenka.

— Chryste Panie! tośmy się zrozumieli, moja Tekluniu—prawił Wujaszek.—Pożartuję sobie czasem i tyle mojego. Ot mileńki, z kobietami to tak ciągiem... i pyknął parę razy z porcelanowej l ulki.

— Hm! ciągnął dalej po małym przestanku—rozumiem ja dobrze co się święci; białogłowy zazdrośne, przed każdą klękaj, chwal wszystkie, bo na to je nam Bóg przysłał.

— Słyszysz kochany? wzruszając ramionami zagadnęła mię Wujenka — słyszysz? I komu to świat gubić!

— Uspokój się matko — z po za ramienia Frani baraszkował sobie dalej starzec naśpiewałem się ja dość, gdym jeździł do ciebie w konkury, pamiętasz? Wartoż bo i było! a piwne owe ślipki, a krucza kosa? Wdzięki znikły, piosenki pasz... tu zrobił dziwnie komiczny gest.

— Tfy! wstydziłbyś się, panie Antoni! burczała wierna towarzyszka. Ot lepiej przeżegnaj się i zmów litanią do Przemienienia Pańskiego...

Stary wiszący zegar z kukułką wybił dziesiątą godzinę. Skorzystał z pretekstu rejterady Wujaszek, i mrucząc coś jeszcze pod nosem pociągnął i mnie za sobą! Cóż było robić! Z kancelaryi rozeszliśmy się każdy w swoją stronę. W izdebce już mojej, po długich rozmyślaniach, Morfeusza skrzydełkiem muśnięty, reassumowałem wrażenia kilkudniowego pobytu mojego w Raczkach. Co mi się też nie marzyło! Uwijał się przede mną chór jasnowłosych aniołków — we wzroku ich przeglądały barwy fiołka, łzy i promienie, wdzięczyły mi się i piwne oczęta, to znowu palił mię urok czarnych jak węgiel... płomiennych... Nad całą zaś fantasmagoryą ułudnych obrazów, jak miraż pustyni, unosił się w mgle malutki jakiś obłoczek. Układał mi się w coraz inne kształty, co chwila mieniącą się świecił barwą—z jakiejżem zaś nie patrzył nań strony, twarzyczka Frani śmiała mi się wciąż...

Nazajutrz rano, słoneczko wysoko się już wzbiło na niebie, mnie jeszcze kleiły się do snu powieki. Znużony umysł do półsennego wracał wciąż stanu w którym, gdy obecnie doznane wrażenia i uczucia łączyły się z przeszłością, sam siebie dwoiście nie jako pojmowałem. Z początku, o świcie, słyszałem coś niby jak ruch i krzątaninę dokoła, stopniowo ucichło wszystko. Szare rolety z żaglowego płótna nie przepuszczały promieni słonecznych do izdebki, z podwórca lekki zaledwie szelest kołysanych podmuchem wiatru topoli dochodził mnie niekiedy Przezwyciężając wreszcie coraz bardziej ogarniającą mię senność, na równe porwałem się nogi. Uchyliłem sztorów, pogodny, aromatem zbóż i łąk pachnący przedstawił mi się ranek letni.

— Do pioruna! śpioch ze mnie nie lada... zakląłem w duchu, a wycieczka nasza po Niemnie?... a ranek w polu wśród żniwiarzy?... otóż to tryumfować będzie Frania kręcąc się po stancyjce. Przypadkowo rzuciłem okiem na mały, stojący pod oknem politurowany stoliczek, stała na nim tacka. Na tacce obok przyrządów do śniadania, w samym gdzieś rożku, bieliła zwinięta w trąbkę karteczka. Porwałem ją i drżącą rozwijać zacząłem ręką. Byłże to messagez d'amour? Któż mi to i kiedy przynosił? Ha! rzecz prosta... spałem za długo...

„Dzień dobry, kuzynku!“ pisała Frania, „jakże się spało? Sądzę że wyśmienicie, bo gdy ja, w cichy szmer fali wsłuchiwałam się, jak zwykle, o wschodzie słońca, i w polu na wianki sporo uszczknęłam bławatków, ty z złotego marzeń rąbka otrząsnąć powiek nie możesz! Zbudź że się przecie gagatku i bież, nie na pola wprawdzie, łąki, nad rzekę... lecz tylko do ogrodu. Dziś mój dyżur, w oczekiwaniu.. biegam dokoła grządek z kwiatami, spędzając z nich motyle, przyglądam się czy nie ma robactwa na owocowych drzewkach, przerzucę niekiedy kartkę jakiej sentymentalnej powiastki... a jak się uda, to i zdrzemnę gdzieś na ławeczce, w cieniu... Przybywaj... nudzę się strasznie oczekiwaniem...

— Nudzisz się aniołku? no proszę! wywracając stołki z pośpiechu, monologowałem zawzięcie. Tego mi właśnie trzeba, bogowie! opiekujcie się nędznym śmiertelnikiem. I wesołą gwiżdżąc arietkę, z chyżością wichru pomknąłem w jedną z alei ogrodowych. Cisza tu panowała również jak i w samym dworku. Przerywało ją chyba brzęczenie pszczółki, lub krzyk zrywającego się z gałęzi ptaka. Kiedy niekiedy dalekiem odzywały się echem zmieszane jakieś głosy. Może to była pieśń żniwiarzy smętna i pełna nadziei zarazem? Mogły to być nawoływania flisaków z nad Niemna, toczącego tu

w pobliżu siną wód swoich wstęgę? Wśród tych przelotnych uwag i spostrzeżeń zbliżałem się do świerkowej alei, gdy naraz wpadł mi w ucho pełen swobody i humoru kuplecik. Mógłżem wątpić? Srebrny to głosik Frani wyzywał mię do walki. Przyśpieszyłem kroku.

„Chodźno chłopcze, klęknij tutaj,
Przyznaj szczerze, żeś ty hultaj.!.
Pojechałeś... zapomniałeś,
Potem sobie przypomniałeś...
Tra la... la...

Możeś sądził, w niebytności,
Serce pęknie mi z żałości?
Oj nie, nie, mój panie,
Tak już źle nie będzie.
Tra la... la...

Chłopców pełno wszędzie...
. . . .
Tra la... la..

Dźwięczała zwrotka.

— Uf! nareszcie! zawołałem spoglądając w głąb cienistej alei. Na małej darniowej siedząc kanapce, z pod splotu dwóch grubych i starych świerków, niby arkadyjska pasterka ukazała mi się Frania. ubrana w jasną perkalikową sukienkę, zgrabnie uwydatniającą wdzięczne jej kształty, miała na szyi koralowy krzyżyk, na złotym zawieszony sznureczku. Bogate zwoje płowych włosów w artystycznym nieładzie na łabędziej białości spływały ramiona, gałązka konwalii zdobiła podnoszące się łagodnie dziewicze jej łono. Zajęta była Frania szydełkową jakąś robótką, bliżej podchodząc rozpoznałem iż sporo już siatki do firanek na białym płóciennym zwieszało się fartuszku. Różowe jej paluszki szybko się uwijały, szydełko posłuszne, w różnych biegało kierunkach. Opodal spoczywał koszyczek z przyborami do robót, a tuż za nim otwarta leżała książka.

— A, przecie! urywając zaczętą zwrotkę, zatrzepotała Frania, jesteś kuzynku?

— Na usługi pani mojej, odparłem, choć dumny i wielki...

— Co? dumny i wielki! nie rozumiem.

— Od pół godziny może.. nie inaczej kuzyneczko! przybierając teatralną pozę, zawołałem, i któżby nim nie był? Kto? dorzuciłem przyciskając do serca trzymany w ręku bilecik. Patrz tylko...

— Pycha... bez zasługi, potrząsnęła główką.

— Franieczko, przez litość! przeklęty Morfeusz... i cóżem ja winien!

— Pięknie zaczynasz sielankę!... strofowało mię dziewczę.

— Przecieżem nie hultaj, jak ów chłopiec z piosenki! patrząc jej w oczy tłomaczyłem się.

— Siadajże, siadaj.. z udanym rzekła grymasem, widzisz jak jestem wspaniałomyślną, przebaczam... Bo to, mój Czesiu, rozjaśniając twarzyczkę, mówiła dalej, z kuzynkiem bez ceremonii.. Długośmy na ciebie czekały, teraz więc do nas cały należysz, a nie sądź znowu, żebyś miał tu umierać z nudów w Raczkach! Wszystkie trzy, siostrzyczki twoje kochane, będziemy obmyślać zajęcia, rozrywki, wycieczki różne w okolicę. Brzegi Niemna malownicze, roskoszne, okolica wesoła...

— Zawsze i wszędzie z wami! wołałem uszczęśliwiony, Franiu! pójdę gdzie każesz, choćby w Plutona kraje, uczynię co zechcesz, potężna Athenais!

— Więc zgoda, panie mythologu, składając robótkę w koszyczek, poczęła. Przejdźmy się trochę po ogrodzie... a możeś ciekawy kur i indyków Andzi? Kto wie, może cię też zajmą umorusane dzieciaki których Joasia u siebie uczy w pokoiku?

— Przejdźmy się, nieśmiało bąknąłem.

— A może w *cerceau* zagramy? uśmiechnęła się. I nie czekając odpowiedzi, w rączki klasnąwszy radośnie, poskoczyła ku domowi. Wyszukanie obręczy i pałeczek krótką trwało chwilę. Nie upłynął i kwandrans czasu, a już biegaliśmy przed werendą rzucając i łapiąc na kijek kółeczko.

— Aj, aj, prędko! spadnie na ziemię, wołała Frania.

— Już na kijku, wywijając pałeczką, odrzekłem, i rzucam moje, patrz Franiu, leci jak strzała, w górę... do słońca.

— Zawstydzasz mię kuzynku, odrzekła niecierpliwie, gdybym wierzyła w uroki... oh! tak jestem niezręczna...

— Gdybym wierzył w czary, zacząłem, zmieńmy obręcze...

— Maszże mię za rozkapryszone dziecko?

— Franieczko, zkądże znowu...

— Zostaję przy swojej... rzucajmy.

— Zgoda, ale ja proponuję zakład...

— Zakład? spytała.

— Wygra go zaś, czyja obręcz szczyt topoli tej przeniesie...

— Trzymam, odparła po krótkiem wahaniu, w razie przegranej wyszyję ci torbę myśliwską, a co w zamian dostanę, jeśli mi szczęście dopisze, kuzynek niechaj się troszczy.

Wyrzucone razem obręcze, w różnych rozstrzeliły się kierunkach. Kółko Frani wnet spadło tuż pod topolą, moje, jakby mocą zaklęcia, ponad szczyt się jej wzbiło.

— Wygrałeś... rumieniąc się lekko, zawołała, to i lepiej może...

— Wygrałem? ja? i wierzyszże tu w senne wyrocznie!

Nie słuchała mię... za małą chwi kę, na werendzie już, wsparłszy się rączkami o duży wazon z kwitnącym oleandrem, zdawała się pochłonięta w admiracyi olbrzyma, majestatem i pięknością królującego tu wśród mnóstwa innych kwiatów.

— Kaprys dziewczęcy, pomyślałem udobrucha się jednak ptaszyna. Ale jak tu się wziąć do niej! Kaprys, a jakże jej z tem do twarzy... Franiu! zacząłem nieśmiało.

Odwróciła główkę i blask jakiś dziwny z oczu jej na mnie uderzył. Chciałem coś mówić i słów mi brakło.

— Wspaniały to kwiat, oleander! potrząsając zlekka blado różowemi bukiety, ozwała się wreszcie, gdyby mu jeszcze zapach...

— Oleander? powtórzyłem, nie lubię go... obraz to pychy. Dla mnie nie masz jak fijołek i konwalia... skromne to, potulne a wdzięczne.

— A cóż mi do symboliki kwiatów? lakonicznie odparła. Co piękne wszystkim podobać się musi..

— Nie przeczę, kuzyneczko, zafrasowany już trochę, bywają wszakże wyłączne upodobania, gusta pewne i antypatye... nieprawdaż? Podoba się tobie człowiek jaki, zachwycasz się kwiatkiem. Zgoda, tenże sam jednak człowiek przykre na mnie robić może wrażenie; przyjemna dla ciebie, mdłą będzie dla mnie woń kwiatu, rażącą barwa.

Lekka, zaledwie dostrzeżona chmurka niezadowolenia przemknęła po białem, kunsztownie rzeźbionem czole dziewczęcia.

— Z tem wszystkiem oleander...

— Zgaduję? ozdobą jest królestwa Flory! podchwyciłem w ruchliwą tę wpatrując się źrenicę.

— Kuzynku! pogroziła mi paluszkiem, gotowam się pogniewać...

— Cóż poczną, tak źle i tak nie dobrze .. biorąc jej rączkę w gorące me dłonie, mówiłem skruszony. W każdym tryumfie tkwi na dnie ziarnko goryczy z wygranej, przegraną łatwo dopatrzyć, nieprawdaż Franieczko?

Uścisnęła mi rękę.

— Dziwny bo jesteś, mój Czesiu, szepnęła, czyż doprawdy takie dziecko ze mnie? Wygrałeś zakład .. i jabym się dąsać o to miała! Wygrałeś, będziesz więc mieć pamiątkę.. bez tego zapomniałbyś nas może...

— Franiu, żart to bolesny, z goryczą w sercu zawołałem, żebym cię miał zapomnieć! ja?

— Czemużby nie? patrząc w ziemię, odparła. W wielkim świecie, gdzie tysiące interesujących spotyka się istot, gdzie wrażenia, przesuwając się tylko, szybko jedne drugim ustępują, cóż znaczy wspomnienie?

— Co znaczy, pytasz mię Franiu? Słuchaj, wołałem z uniesieniem, jeśli pamięć chwil spędzonych razem łączy się z przeobrażeniem w duszy naszej, w sercu, tem biednem sercu, gdzie wszystko się mieści: słabość i niedołęztwo, tak dobrze jak cnota i wzniosłe uczucie; pamięć ta jestestwem się staje naszem, nią tylko żyjemy.

Podniosła na mnie oczy, we wzroku jej przeglądało teraz zdziwienie. Milczeliśmy oboje, przechyliwszy się nieco naprzód, zdawała się Frania wsłuchiwać w tajemniczy szept serca. Twarzyczka jej pokryła się znowu wyrazem zadumy. Było to zapewne dostrojenie bogatej jej natury do wrażeń chwili. Patrząc na nią, zdało mi się iż należy nieodłącznie do rzędu tych wyższych istot, co się splatały teraz w zgodną i uroczystą całość, śpiewającą w mej duszy rajską pieśń. Bałem się ją wyrwać z tej zadumy i patrzałem wciąż na profil jej, wszystko zaś, cokolwiek mię otaczało, kryły mroki.

— Aaa... przecież znajduję kogoś! wśród błogiej ciszy, fałszywym zadźwięczał mi tonem nieznany jakiś głos, prawdziwie jak w zaklętym pałacu, żywego ducha dokoła...

Zmieszałem się.. i pierwszem wiedziony uczuciem, ścisnąwszy pięść, z iskrzącem okiem, byłbym zda się starł w miazgę śmiałka, co taką rozkoszną wydziera mi chwilkę.

— Pan Teofil! patrząc ku rozwartym na werendę drzwiom od salki, zawołała Frania, dwa żywe rumieńce wybiegły jej na twarz. Wyglądała jak różyczka rozwinięta do słońca i zapachem swoim dysząca.

— Pan Teofil! powtórzyła, i obie podając rączki przybyłemu, witała go poufale. Spadłeś pan jak z obłoków, doprawdy. Myśleliśmy żeś wyjeżdżał gdzie, lub żeś chory... będzie panu od tatka...

— Cóż robić, pani moja droga! spokojnie tłomaczył się zagadnięty, w życiu naszem, to jak się uda. Objeżdżałem właśnie poręby leśne na granicy Raczek i przypomniał mi się interes do ojczulka.

— Więc to pan leśniczy? pomyślałem w duchu, przyjaciel domu, mistrz i doradzca kuzynek moich! Słyszę o nim wciąż, od ranka do wieczora... I uspokojony trochę, spojrzałem nań jakoś życzliwiej.

— Poznajcież się panowie, przypomniała sobie wreszcie Frania, pan Teofil... sąsiad nasz z Rutki, kuzynek nasz z Warszawy...

Skłoniliśmy się sobie, parę zamieniwszy wyrazów.

— Starzyśmy już znajomi, łaskawy panie, dobrodusznie i z całą uprzejmością począł pan Teofil, rozmawialiśmy nieraz o panu, wyglądano cię tu, oczekiwano. Niedawno, sam nawet byłem świadkiem, pamiętam, jak ktoś, niby Grätchen z Fausta, skubiąc listek po listku, pytał kwiatków: „przyjedzie? nie przyjedzie kuzynek? i w miarę odpowiedzi promieniał, lub tęsknił...

— Był to sobie żarcik niewinny... zabawka, nic więcej, przerwała Frania i poglądając na mnie cał-

kiem już odmiennym niż przed chwilą wzrokiem, zdawała się mówić: wolno mi było marzyć, lecz czy się marzenie moje ziściło? pytanie!...

Uśmiechnął się Leśniczy.

— Jabym się miała radzić wyroczni? powtarzała Frania z grymasem, nigdy i w żadnym wypadku.

— Dziś, może i nie, podchwycił pan Teofil, za jutro nie ręczę „Gust kobiet, pogody jesienne“. I zwracając się do mnie:

— Bawisz pan tu od kilku już dni, rzekł z pewną uprzejmością, powiedzże mi, podoba ci się Zmogesów kraina? Czy przypadkiem nie zabity to deskami świat dla Warszawiaka?

— Wieśniak ze mnie gustami i usposobieniem, odparłem żywo. Gdybym był jednak i mieszczuchem, mógłżebym się oprzéć urokowi poezyi otaczającemu rozkoszne wybrzeża Niemna? Wszakże je opiewał wielki nasz Adam.

— Nasz z pana człowiek; dłoń moją kordialnie ściskając, rzekł Leśniczy, piękna to w istocie okolica... i poczciwa. W ojców wierze, po Bogu żyją w niej ludzie. I w krótkich a jędrnych słowach odmalował mi stronę tamtejszą, wskazywał miejsca warte widzenia, mówił o obyczajach i ludzie.

Powoli, mimo roztargnienia mojego, zawiązała się jakaś gawędka. Człowiek ten rzadki posiadał dar ujmowania sobie drugich. Wszystko, co z ust jego płynęło, tak było przekonywające, takiem ciepłem serca ogrzane, iż jak pod słońca palącem promieniem śnieg taje, i nieusposobienie moje dlań z początku, magiczną mocą słowa rychło się w szczerą zamieniło sympatyę.

— Ale.. ale... przeciągając dłonie po szerokiem czole, zawołał wreszcie, mam też dziś z sobą rysunki panny Franciszki... zabłąkały mi się przypadkiem w tece. Tu zaczął rozwijać parę sporych kartonów. Zainteresowany potrochu, zbliżyłem się i ja do stolika.

— Swojemy słowami, panie kochany, zawołał Leśniczy, początki jak zwykle. Frania zasłaniała mi rączką kartony. Rysunek kredką, przedstawiający „Święto Cerery w starożytnej Grecyi“ podobał mi się nieżartem. Całość wdzięcznie wpadała w oko. U dołu obrazka znajdował się podpis „Mojemu kochanemu ojcu“. z datą i pierwszemi głoskami imienia Frani.

— To na imieniny tatka szepnęła Frania. Pst! nie wygadaj się kuzynku, ośmielała się coraz bardziej i spoglądając przez ramię moje na rysunek, zdawała się śledzić na twarzy mej wrażenie przezeń wywołane. Uśmiechnęła się, żartowała sobie, niby to do taleńciku swego najmniejszej nie przywiązując wagi.

— Ależ wybornie, Franieczko zawołałem, współżartobliwie patrząc w oczy domorosłej artystki. Technikę posiadasz...' wszystko się tu zlewa w doskonałą harmonią.

— W tej kopii? orzucając mię ironicznem jakiemś spojrzeniem, odparła.—Krytyk też z ciebie kuzynku nielada...

— Są w istocie zdolności, wtrącił pan Teofil z powagą nauczyciela. Idzie tylko o cierpliwość i pracę. Szkołę można z czasem nabyć, widząc wiele, studyując, przyswajając sobie niejedno...

(d. n.)

POGADANKA.

Otóż minął czas postu i pokuty: minęły i dnie wielkotygodniowe w uroczystym pochodzie naszego starego odwiecznego zwyczaju. Kir żałoby spadł z ołtarzy, zadzwoniły dzwony radośnie, świat uśmiechnął się, przebiegł po nim podmuch kwietniowego tchnienia i miliony pobożnych ust szepnęły z namaszczeniem: Chrystus zmartwychwstał! Zaiste, uroczysta to chwila! Oby symboliczne słowa tej wielkiej nowiny zmartwychwstania, przeniknęły serca ludzkie, zapuściły w niem jak najgłębiej korzenie, rozrosły się i plonowały darząc świat tysiącznym od sta procentem.

To procentowe życzenie, acz nader harakterystyczne, wemknęło się pod pióro przypadkiem. Myśl bujała przy stołach świątecznej zastawy, witała się i radowała gronem życzliwych, obdzielała się z nimi skromnym braterskim poczęstunkiem, przebiegała tłumne zebrania na ujazdowskim placu, przypatrywała się huśtawkom, karuzelom i młynom dyabelskim, biła oklaski błaznom policzkującym się z dziwną rozrzutnością, przysłuchiwała się gwarnej rozmowie siedzącym przy kufelku piwa lub szklance herbaty; słowem myśl na skrzydłach wyobraźni uprzedzając czas i wypadki, bujała w najlepsze gdy naraz dały się słyszéć słowa z pewną niecierpliwością wypowiedziane:

— Rozumiem to wszystko, ale powiedz mi co ja na tem zarobię?

— Czyż dla brata, była odpowiedź, nie należy się pomoc bez własnej korzyści?

— Dobre to było przed laty, odrzekł ów braciszek rachunkowy, ale dziś praktyczniej na rzeczy patrzymy i poświęcenia wszelkiego rodzaju uważamy za piękne pamiątki, za sielankowe wspomnienia z minionej bezpowrotnie przeszłości...

Oh! ta przeszłość! Ileż to z niej nieobecnem jest w dzisiejszej obecności.

O takich to Niwa zamieściła artykuł p. n. „Nieobecni“ którego treścią jest aby ci „nieobecni“ ci „najlepsi“ to jest arystokracya, spełniając gorące pragnienie społeczeństwa, ster jego ujęła w swoje dłonie. Że takby być powinno, każdy się na to zgodzi, ale żetak niejest nikt nie zaprzeczy. Nadużycia jakich w dziejowym pochodzie ludzkości dopuszczały się arystokratyczne rody; zapomnienie o posłannictwie swojem i że *rzeczywista wyższość* o tyle na cześć zasługuje, o ile jest opartą na wypełnianiu rozleglejszych obowiązków, sprawiły, iż nie odróżniając zasady od jej zboczeń i wykroczeń, nie te ostatnie potępiono ale zasadę i podjęto zaciętą walkę przeciw wszelkiej w ogóle arystokracyi. Jeźli ta jednak chce godnie odpowiedziéć posłannictwu swemu, powinna zrozumiéć wymagania postępu i nie stawać się jego zaporą, inaczej ruch popychający społeczeństwa naprzód, obali zawady i odtrąci tych co go powstrzymać chcieli. Powinna ona, według słów Baudrillart'a, „przykładać się do wszelkich ulepszeń, nie uosabiać wyłącznie w sobie, ale przedstawiać z godnością, powagą i największą gorliwością wszelkie patryotyczne uczucia, wspierać nauki, piśmiennictwo, sztuki i przemysł, zachęcać rolnictwo i bez pychy w obec niższych, każdemu kto pracuje i wywyższyć się pragnie, dawać opiekę i poparcie i to w ten sposób aby nie poniżały nikogo. Dumna wyłącznie w obec potęg które chciałyby deptać moralność i prawo, nie pychą ale cnotą nie świetnością ale poświęceniem, nie własnej wielkości ale obowiązków swoich poczuciem, nie pargaminami ale czynami, nie pocztem sług ale szeregiem zasług—dobijać się powinna uznania i podziwu, a nadto być wszędzie gdzie potrzeba *obecną*.

I taką też, mówi dalej, była *kiedyś* arystokracya nasza, potem zaczęła się wyradzać. Wreszcie nastały lata ogólnego upadku moralnego, i wówczas na bagniskach zepsucia i rozkładu, przewodniczyła narodowi arystokracya... Potem nadeszły ciężkie chwile pokuty i odkupienia, synowie wyrodnych ojców gorąco pragnęli zmazać ich winy—rozgrzeszenie nie przyszło. Gromy historycznej Nemezis spadły i raziły znaczną liczbę potomków tych co najwięcej zawinili—ztąd wyrodziło się *przygnębienie* któremu wielu się poddało. Pozbawieni hartu *dawniejszych* przodków a odziedziczywszy zniewieściałość *bliższych*, upadli na duchu, upadli na majątku, zaczęli szukać pociechy w bezmyślnej zabawie i poniżających uciechach. Nieodpowiednie do potrzeb kraju, najczęściej cudzoziemskie wychowanie, uczyniło ich niezaradnymi i pozbawiło energii. Wprawdzie znalazły się wśród nich jednostki — ale jednostki stanowią tylko ozdobę społeczeństwa ale warstwy jéj nie uszlachetniają.

Dalej ubolewa autor że w braku *najlepszych, nieobecnych*, przodownictwo w narodzie dostało się różnym *stein'om*, *mann'om* i *berg'om* które osiągnęli potęgą swoich kapitałów i zabiegów—przyznaje jednak, że dziś już kraj niejedno im zawdzięcza i wiele jeszcze może zawdzięczać w przyszłości; że ofiarność firm owych i gotowość do popierania usiłowań i przedsiębierstw mających na celu dobro ogółu bywa wielka i głośna. Nie pragnie także „aby jakie bądź pochodzenie odejmowało komuś możność wejścia w skład arystokracyi“ tylko zdaje się lękać, aby wpływ jaki dziś wywierają nie stał się zbyt przemożnym, i aby „gdyby społeczności naszej pomyślna zaświeciła gwiazda, dzisiejsi *nieobecni* zjawiający się wówczas może z daleko sięgającemi roszczeniami, nie zastali miejsc zajętych przez spełniających obecnie ich obowiązki i dobrze się z nich wywiązujących.“ Niezawodnie takby było i według nas bardzo słusznie—kto dopełnia zasiewów powinien korzystać z plonów—ale u nas tyle jest jeszcze do zrobienia w zakresie spraw publicznych, iż nie ma się co lękać aby dla *zdolnych i gorliwych* pracowników zabrakło miejsca.

Przyznajemy że nie pojmujemy jasno jaki cel założył sobie autor w artykule tym napisanym wprawnem i zdolnem piórem; zdaje się być stronnikiem arystokracyi, a przecież wypowiada jej prawdę tak nagą i ostrą, iż niby więcej powiedziéć nie mógł zapalony demokrata. Czyby chciał tylko ozłocić podaną pigułkę? Na określenie jego czem była, czem jest, i czem powinna być arystokracya, jeźli chce utrzymać się na wyższem stanowisku, każdy zapewnie się zgodzi—ale zkądże owa obawa aby opuszczonego miejsca „nieobecnych“ nie zajęli inni, choćby noszący nazwiska kończące się na *erg*, *ein*, *mann* lub t. p., skoro szanowny autor powyższego artykułu sam przyznaje, że położyli już niemałe zasługi dla dobra ogółu? Jeźli umieją być „najlepszymi“ dlaczegóż opustoszałych stanowisk zająć nie mają? Czemuż dziś, gdy powaga przywileju z dniem każdym więcej upada a w jej miejsce powstaje coraz więcej rozwielmożniająca się idea równo-uprawnienia, tamować komukolwiek drogę dorabiania się nietylko majątku ale znaczenia i wpływu, jeźli zasługuje na nie przez usługi oddawane społeczeństwu? Cóż znaczy najdawniejszy ród i najświetniejsze nazwisko, jeźli służy tylko do uwydatnienia nicości tego kto je nosi? Czyż nie większą ma zasługę, kto nie podbudzony wspomnieniem świetnej przeszłości i owem pięknem godłem „szlachectwo obowiązuje“ powodowany przecież zamiłowaniem dobra ogółu, umie ponosić dla niego ofiary i trudy i stać się poniekąd protoplastą nowej tradycyi rodowej, niż potomek choćby owego hiszpańskiego pana znakomitego rodu, co chcąc wykazać jego starożytność kazał się odmalować stojącym z kapeluszem w ręku przed N. Panną, która mówi mu: „Nakryj głowę, mój kuzynie.“

A zresztą, zapytać jeszcze trzeba, kogo mianowicie autor uważa za arystokracyą: czy maleńkie gronko utytułowanych rodzin (nie mówimy o Galicyi gdzie tytuły tak były tanie i ztąd namnożyło się ich bez liku) czy w ogóle inteligentną szlachtę, która zawsze stanowiła u nas czoło narodu, i nietylko do najwyższych dostojeństw, ale nawet do tronu otwartą miewała drogę. Jeźli chodzi o owe nieliczne utytułowane jednostki, są przecież wśród nich ludzie pojmujący nasze położenie i potrzeby, podzielający usiłowania, nadzieje i zawody, i nie usuwający się od pracy dla dobra społeczeństwa swego, —ci zaś z nich, którzy pozbawieni przywilejów nie poczuwają się do obowiązku a może i czują nieudolność swoją pracowania dla sprawy publicznej— dla tych nawet wymowny głos autora „Nieobecnych“ pozostanie głosem wołającego na puszczy. Jeźli zaś chodzi o szlachtę w ogóle, ta o ile jej możność i niezwalczone zapory dozwalają z małym wyjątkiem nie usuwa się od społecznego powołania swego, tak w miastach jak na wsi, a każdy niemal dwór czy dworek wiejski, jest dziś ogniskiem życia duchowego, miłości kraju i gorącej chęci jego dobra i pomyślności.

„Ateneum“ zamieściło odpowiedź na artykuł „Niwy“ pod nazwą „Wołanie do nieobecnych.“ Autor zapatruje się ze stanowiska demokratycznego, i z powagą i godnością wypowiada wiele pięknych i zacnych myśli, choć może na niektóre wnioski nie zupełnie się zgadzamy. Rozpisaliśmy się w kwestyi tej nieco za obszernie, ale artykuły te tak się wyróżniają i wartością i obrobieniem, iż chcieliśmy zwrócić na nie większą baczność.

Sprawę oświaty ludu naszego mając zawsze na pamięci, z radością donosimy, iż zaczynają powstawać u nas tak zwane „Gospody chrześciańskie“ gdzie obok skromnego pożywienia i napoi, wieśniacy znajdują odpowiednie pisma ludowe i zachętę do ich czytania. Jedna taka gospoda założona została w osadzie Odrzywół liczącej około 800 mieszkańców, druga w Nowem-Mieście mającem 2,400 mieszkańców. W kieleckiem we wsi Gołębin na nowo urządzone zostały wykłady wieczorne, z jak największą dla słuchaczy korzyścią. Prowadzi je nauczycielka miejscowa panna Peldzianka a najzdolniejsi z dorosłych uczniów nauczyli się czytać w ciągu 15 lekcyi.

Nadto w kilku miejscowościach, dzięki gorliwości duchowieństwa, lud zawiązał stowarzyszenia wstrzemięźliwości. Rzadkie to jeszcze ale nader pomyślne objawy, dowodzą że gdzieś tam w głębi duszy drzemią siły wielkiej doniosłości, zdolne rozwijać się samodzielnie nietylko bez dostatecznego poparcia, ale często wśród ucierania się z rozlicznemi przeszkodami.

Pan Bronisław Trzaskowsi, dyrektor gimnazyum w Tarnowie, w Galicyi, zajmuje się zebraniem składki w celu wzniesienia pomnika śpiewakowi „Wiesława i Aliny“ który był kiedyś uczniem powyższego gimnazyum. Pomnik Kazimirza z Królówki ma stanąć przed gmachem gimnazyalnym, na otwartym placu, w miejscu bardzo ożywionem. Ma to być ostrosłup marmurowy lub granitowy na odpowiedniej podstawie, z popiersiem Brodzińskiego i z odpowiednim napisem. To uznanie ziomków słusznie należy się wieszczowi, który tak gorąco lud i mowę ojczystą miłował i tak wielkie około piśmiennictwa naszego położył zasługi.

To krzątanie się w kierunku oświaty i moralności czyjeż serce nie rozraduje? Żółkowski, ojciec dzisiejszego ulubieńca sceny, w liście do przyjaciela powiada: ze smutkiem donoszę ci o otwarciu nowej u nas szkoły; widać że głupców coraz więcej przybywa, skoro dawniejsze instytucye przeciw nim wymierzone już nie wystarczają. Oby podobne żale ponawiały się u nas codziennie, oby każda wioska błyszczała najdroższym skarbem... szkółką, a każde miasto gubernialne szkołą przyspasabiającą dla nich nauczycielki i nauczycieli.

Ale i w Warszawie nie zasypiamy. Po koncertach na pomoc dla uczącej się młodzieży, rozpoczęły się wykłady publiczne na osady rolne, na wsparcie Szlązaków i dochód stowarzyszenia subjektów handlowych. Prelegenci wywiązują się sumiennie ze swego zadania; profesor Tarnowski gromadzi jak zawsze tłumy słuchaczy, obok niego wyrósł nowy współzawodnik p. H. Sienkiewicz (Litwos) i zwraca na siebie ogólną uwagę tak treścią odczytów jak wabnością słowa i dramatycznością układu. Z kobiet jedną tylko panią Marené (Morzkowską) mamy po zanotowania; rozprawa jej o kształtowaniu się powieści słuchaczom i sprawozdawcom powszechnie się podobała. Publiczność na tych odczytach choć liczna ale przyznać należy, że ciszą i poważnem zachowaniem nudzi i... usypia. Inaczej postępuje publika złożona z wielbicieli włoskiej opery: o bilety bez silnych, barczystych pleców i w razie danym bez tęgiej pięści, nie dociśnie się do kasy. Baryerki trzeszczą, tłum skrzeczy, kobiety narzekają, powstają swary, nieporozumienia, hałas, tartas... sprawy w policyi.

Smutny to widok a nawet wstydzący: za granicą nigdzie z nim nie spotyka się. Licznych ochotników i tam nie brakuje, ale nikt drugiemu nie włazi na nogi, nie depcze, nie pcha się, nie weiska nie wspiera się na plecy ledwo że nie na głowę, tylko czeka kolei z cierpliwością godną naznaczenia. Patrząc na te zapasy miłośników opery włoskiej, na prasowanie się ich wzajemne, rozmamane ubrania, twarze wykrzywione i ciekące potem, człek czuje że żyje, patrzy, słucha z zajęciem i cieszy się... że do nich nie należy.

Przecież to z czasem zmieni się, przynajmniej nietrzeba tracić nadziei, a nim to nastąpi może i w samej dyrekcyi teatralnej nastąpi zmiana wielce pożądana. Kuryer Codzienny donosi że ma ona dotyczyć nietylko części administracyjnej ale i artystycznej, a Kuryer poranny powiada, że oba teatra przejdą podobno na prywatną własność na co władza wyższa nie sprzeciwia się w zasadzie.

O ile pogłoski te sprawdzą się, czas pokaże, zawsze są one pocieszające jak przylot jaskułek wiosnę zapowiadających, dowodem zajęcia się władzy losami naszych teatrów.

W parlamencie węgierskim zdarzył się komiczny wypadek na jednem z posiedzeń, który wart powtórzenia jako wety na zakończenie naszej przekąski pogadankowej. Dotyczył on tak zwanej kwestyi żydowskiej, będącej dziś na porządku dziennym. Deputowany Istoczy zażarty przeciwnik tego żywiołu stale hołdującego wyrobionej od wieków odrębności, na nowo, poraz może już dziesiąty, wniósł projekt przeniesienia żydów do Jerozolimy. Na to jeden z deputowanych zrobił uwagę, że Żydów nie możnaby przenieść nawet na przedmieścia Pesztu, bo w takim razie nie miałby kto pożyczać pieniędzy. W parę godzin potem nadchodzą depesze telegraficzne, adresowane do humorystycznego obrońcy; otwiera je pospiesznie i cóż znajduje?... Oto w jednej oświadczenie miłosne panny Rebeki z Pesztu z ofiarą swej ręki i milionowego posagu; w drugiej nominacyą na rzezaka z Krakowa przez rabina: w trzeciej zawiadomienie, że żydowscy wierzyciele mówcy w Munkaczu, spalili wszystkie jego weksle i odprawili za niego nabożeństwo. Był to figiel p. Istoczego wypłatany w porozumieniu z zarządem telegraficznym i udał się przewybornie! Wart więc był, jak przysłowie powiada: pałac Paca i Pac pałaca!

KORESPONDENCYA ZAGRANICZNA

Z RZYMU.

(Dokończenie).

Niezwykła przejrzystość nieba i morza, wprawia w zachwyt artystów i turystów, a serdeczne powitanie jakiem miejscowi wieśniacy i robotnicy przyjmują cudzoziemców nader małe ceny w pensyonach, cisza, spokój i zdrowy klimat, stanowią dla Kapritanów bogactwo, ktore wynagradza i długo wynagradzać będzie to wszystko, czego im przyroda odmówiła, jeźli potrafią zachować swą dotychczasową poczciwość, równie rzadką i nieocenioną jak piękność ich córek. Caprea wywiera na cudzoziemców urok tak nieprzeparty, iż wielu książąt wielkich pań i artystów osiedliło się tu na stałe. I korespondent wasz zachowa na zawsze w pamięci wspomnienie tej uroczej wyspy i zamierza powrócić do niej w lecie, gdyż w obecnym czasie nie mogłem dostatecznie ocenić malowniczych jej krajobrazów patrząc na nie wśród zimy, podczas strasznej burzy, a rozhukane morze przywodziło mi na pamięć straszne wspomnienia orgii Tyberyusza.

Z Capri zawadziłem o Neapol, gdzie mogłem przyjrzéć się dobrze Izmaelowi-paszy. Pomimo że 400, wyraźnie czterysta aspirantek na faworyty haremowe pozostawił w Kairze, gdzie na żywienie ich sprzedano przyrządy kuchenne.

Książęta Hassan i Hussein, przybywszy tu stanęli w najpierwszym hotelu p. n. *Hotel royal des Etrangers* i tam wiedli pańskie i hulaszcze życie młodzieńców wysokiego rodu, mających ojczulka posiadającego miliony dochodu.

Z początku, harem czyli raczej odłamek haremu, pozostał na pokładzie yachtu ale tam paniom tym bardzo było niewygodnie! Oddano więc dla nich królewską willę *Faworytę*, leżącą u stóp Wezuwiusza, a architekt arabski przybyły z ex-kedywem, wskazał jakie należy zaprowadzić urządzenia, aby piękne wygnanki mogły w niej zamieszkać.

Izmael-pasza zamówił willę Faworytę tylko na pół roku, widać więc że nie myśli osiedlić się w niej stale, tymczasowie jednak kazał przenieść do niej przepyszne drogocenne rzeczy, jakich nie zapomniał zabrać z Egiptu. Gdzie ztąd zamyśla się udać, nie wiadomo, to tylko pewna że nieustannie wysyła i odbiera depesze od swejej córki, pięknej pani Mansur-pasza, której mąż jako prawdziwy mąż egipskiej księżniczki, otrzymał udział w rządzie Tewfik'a, niechcącego pozbawiać siostry sposobności, jak za panowania ojca, mieszania się do spraw publicznych.

Biedny Izmael niemało pewnie natrudzi się odczytywaniem telegramów, pisanych cyframi, od których klucz on tylko posiada, a obejmujących zawsze niemal 600 do 800 wyrazów. Takich telegramów przychodzi nieraz po parę na dzień, i obliczają że ta elektryczna korespondencya kosztuje codzień najmniej 1,000 franków. Jest to jednak może jedyny zbytek jakiego sobie pozwala ex-kedyw bo pod każdym innym względem *afiszuje* oszczędność posuniętą prawie do skąpstwa. Wiadomo przecież że sam *spadek* po Muffetich-paszy przyniósł mu 300 milionów, i dlatego obliczają dzić ruchomy majątek ex-kedywa, najmniej na 400 milionów fran-

ków. Dodajmy do tego niemniejszy pewnie majątek jego matki, oraz niezliczoną liczbę klejnotów i kosztowności jakie zabrał na pokład *Mahrussa*, to wypadnie że z własnego majątku posiada najmniej 12 milionów rocznego dochodu i drugie tyle spodziewa się odziedziczyć po matce.. Kto posiada taki krezusowy majątek, może sobie pozwolić wydawać rocznie około 400,000 fr. na korespondencye telegraficzne. Ileż jednak za te pieniądze możnaby rodzin uszczęśliwić, ile nędzy podratować, ilu głodnych nakarmić.

Cień kawa rzecz czy ex-kedyw obchodził tak ściśle na wygnaniu jak dawniej gdy panował w Egipcie, dwudziesty siódmy dzień Ramzanu, w którym muzułmanie obchodzą jedną z najważniejszych uroczystości dorocznych, sięgającą pierwszych początków islamu a noszącą nazwę: „Nocy tajemnic“ albo „Nocy przeznaczenia“. Podczas jej mają mieć miejsce niezliczone dziwy i cuda, niewidzialne dla profanów i niewiernych, ale objawiające się pobożnym mahometanom, który „Allah“ raczy zaszczycać swojem zaufaniem. On to tej nocy ma stanowić o losach monarchów, państw, ludów i prostych śmiertelników. Godziny upływające między wschodem a zachodem słońca, rozstrzygają o zbawieniu lub potępieniu wiernych, gdyż w tym przeciągu czasu Allach robi i zamyka obrachunek ich przewinień i grzechów, przekreśla cały rachunek, przeznacza czystą kartę w swej księdze, i otwiera nowy kredyt na rok następny. Uczeni komentatorowie Koranu, rozpisali się obszernie o rozmiarach i kolorze tej „wielkiej księgi“ w której Allah zaprowadził podwójny rachunek: brak w niej tylko adresu introligatora. Nad czem rozmyślał i o co prosił Allaha ex-kedyw? Niewiadomo, ale być może o powrót na tron Faraonów, na którym posadzono jego syna.

Wiadomo że w tej strasznej nocy sułtan powinien odprawiać publiczne modły: poprzednicy Abdul-Hamida nigdy nie zaniedbywali tego obowiązku i około dziesiątej w nocy, z wielkim przepychem udawali się do meczetu Ś. Zofii, otoczeni nader licznym orszakiem. Otóż pisano mi z Konstantynopola, że Abdul Hamid tak ciągle dręczony jest obawą i tak boi się wszystkiego, iż zaledwie odważył się opuścić Kiosk Gwiazd, około dziesiątej popłynął do marmurowych schodów Dolma-Bagcze, i zamiast zwrócić się ku szczytowi Starego Seraju, a ztamtąd udać do meczetu Ś. Zofii, kazał przybić do brzegu w pobliżu przed meczetem Fondukli.

Siedział w wielkim galowym kaiku o dwunastu parach wioseł, pod baldachimem wspartym na czterech złoconych kolumnach. Kaik obity był czerwoną jedwabną materyą podbitą białą i ozdobioną haftowanem złotem ustępami z Koranu. Kalif siedział na tronie pokrytym kosztownemi kobiercami u nóg jego mieścił się w kuczki wielki wezyr.

Na drugim kaiku płynął syn sułtana, bracia jego i kuzyn jego Izzeddin, syn Abdul-Azis'a, trzymany na w pół w więzieniu; w trzecim ministrowie, w czwartym oficerowie pałacowi. Bosfor ze swemi lazurowemi wodami, nadaje dziwnie wspaniałą cechę wszystkim urzędowym konstantynopolskim uroczystościom, przez długi czas stanowił on jedyną kommunikacyą między różnemi dzielnicami i rezydencyami sułtana, i kaiki po dziś dzień odgrywają tam równie malowniczą rolę jak w Wenecyi gondole, ale są daleko okazalsze. Prześliczny, czarodziejski prawie przedstawiają widok te wspaniałe łodzie przesuwające się po falach Bosforu, i oświetlone wspaniale milionami latarni weneckich, porozwieszanych na rejach statków.

Przeszło 300,000 muzułmanów oczekiwało ukazania się tego którego nazywają „cieniem Boga na ziemi“ ale obecnie panujący „cień Boga“ tak lęka się wszystkiego, nawet własnego swego cienia, iż wsunął się cichaczem do meczetu, jak dłużnik zmykający przed wierzycielami. W tejże chwili wystrzały armatnie ze wszystkich fortów zwiastowały światu że namiestnik Allaha pada przed Nim na kolana jak prosty śmiertelnik i błaga „strasznego kontrolera“ aby mu nowy otworzył kredyt. Czy też przychylniej przyjmie jego wołanie jak wierzyciele na tym płaczu padole? Podczas pobytu padyszaha w meczecie, zerwała się burza, na strzały działowe niebo odpowiadało wichrem i błyskawicami, co na muzułmanach złe bardzo zrobiło wrażenie; widzieli w tem nieszczęśliwą wróżbę. Ale cień Allaha nie spędził całej nocy na modlitwie jak dzielni jego poprzednicy; o jedenastej kaik jego odwiózł go do Dolma-Bagcze, a ztamtąd otoczony licznym pocztem niewolników powrócił do Kiosku Gwiazd, rozmyślając zapewnie jakimby sposobem mógł uzyskać nowy kredyt u dostawców, którzy nie chcą już niczego dostarczać inaczej jak za gotówkę.

Było coś wzniosłego w postanowieniu tej „nocy przeznaczenia“ skazującej „cień Allaha“ aby noc całą zastanawiał się i rozmyślał nad swemi winami: dziś cień ten zaledwie odważa się opuścić zgraję kobiet zebranych z największego motłochu i wstrętniejszych jeszcze enuchów, a przez nieustanne z nimi przebywanie, upadł tak niemal jak oni. Jakiż to wpływ wywierać musi na lud cały, podobny przykład idący z góry!

Rassegna seltimanale ogłasza niedrukowany dotąd fragment o życiu weneckiem w ośmnastym wieku, dowodzący, że oligarchia ówczesna nie była zbyt hojną dla potężnego swego przedstawiciela władzy wykonawczej. Wyprawiano doży sute zaślubiny z Adryatykiem, ale pensyą pobierał nader szczupłą, 75,000 liwrów weneckich, co odpowiada summie 38,000 franków. Dodając pewne przywiązane do dostojeństwa tego dochody, mógł mieć rocznie około 50,000 fr. z których musiał opłacać kancelaryą a nadto wydawać galowe festyny, które kosztowały go 50,000 do 60,000 ówczesnych liwrów weneckich. Tak więc dożowie nie mogli kapitalizować dochodów, i tylko bogacze mogli piastować wysokie to dostojeństwo i zamieszkiwać w pałacu dożów a i tak wielu opuszczali go zrujnowani.

Dnia 8 grudnia obchodzono tu z wielkiem nabożeństwem 25-cio letnią rocznicę ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia. W dzień większa część sklepów była zamknięta a wieczorem zajaśniała świetna illuminacya. Niby w tem nie było szczególnego, gdyby nie to, że zwrócono uwagę iż większa część latarni weneckich stanowiących illuminacyą pałaców stronników papieża, jaśniała kolorem zielonym, białym i czerwonym, a jak wiadomo są to narodowe kolory włoskie. Dotąd stronnictwo to nigdy nie używało tych kolorów, jeżli więc przyjęło je w tym roku, nie uczyniło tego pewnie bez wiedzy papieża, któremu zdaje się należy przypisywać ten objaw uczuć pojednawczych. Kolory włoskie użyte do manifestacyi katolickiej, jest to coś tak niezwykłego, iż kronikarz wasz nie mógł pominąć faktu mającego donioślejsze znaczenie niż zwykłe manifestacye, który może jest zapowiedzią nowej ery.

Kościół „Gesu“ (Jezusa) przybrany odpowiednio do uroczystości, prawdziwie czarodziejski przedstawiał widok. Wszystkie okna i otwory zostały zasłonięte; wewnątrz kościoła gorzał prawdziwy las świec woskowych, rzucający lśniący odblask na wszystkie złocenia. Jednemi drzwiami wszyscy wchodzili drugiemi wychodzili, a przez cały dzień napływał taki tłum pobożnych i ciekawych, że władza musiała postawić straż przy drzwiach, dla uniknienia wypadków. Woń święconego kadzidła, pomieszana z perfumami dostojnych patrycyuszek i przejmującym zapachem płonących świec woskowych, wytwarzała odurzającą atmosferę. I inne kościoły równie okazale były przybrane i oświetlone, ale przybywający do nich pobożni, nie należeli do tak wykwintnego świata jak wierni w kościele „Gesu.“ Niezliczone tłumy nawiedzały także kościół ś. Wawrzyńca, jest to jeden z najstarszych kościołów rzymskich, pochodzący jeszcze z pierwszej ery chrześciańskiej, a pociągały tu nie wspomnienia i zalety archeologiczne, ale prosta i pusta nisza, urządzona w szerokiej krypcie po za wielkim ołtarzem, w której mają być złożone zwłoki Piusa IX, gdy nadejdzie czas przeniesienia ich z dotychczasowego, urzędowego grobu. Uprzedziła zmarłego w tej, — daj Boże! długo jeszcze próżnej mogile, — niezliczona ilość prześlicznych wieńców, pomiędzy któremi były i bardzo kosztowne.

W dniu tym było wielkie przyjęcie w Watykanie; dwudziestu kardynałów otaczało Ojca św. a najznakomitsze rodziny włoskie przysyłały swoich przedstawicieli.

J. K.

Przegląd literacki.

Szlachetna zabawa, oryginalne powiastki opowiadania i komedyjki dla młodzieży (zbiór drugi z drzeworytem) wydał *Władysław Nowicki* Mag. Nauk Hist.-Fil. Warszawa 1880 r. w 8-ce str. 257.

Nim powiemy słów kilka o tej pięknej i pożytecznej książce, pozwalamy sobie zrobić parę uwag ogólnych o naszych książkach przeznaczonych dla małoletnich czytelników.

Pisać dla młodzieży, dla dzieci, a w części i dla ludu, rzecz bardzo trudna, trudniejsza nawet, niżeli się to na pozór wydaje niejednemu początkującemu autorowi lub niejednej autorce.

A najprzód pomijając warunki czysto formalnej doniosłości, trudno oznaczyć różnicę, którą zachować należy, pisząc dla dziecka, rozglądającego się w świecie, a dla młodzieńca, siłą wyobraźni i uczucia rwącego się do wszystkiego, co piękne, szlachetne i pożyteczne; toż samo pamiętać należy, gdy się pisze dla ludu; inaczej się przemawia do ludu prostego, nieokrzesanego z mało rozwiniętemi władzami umysłowemi, a inaczej do ludu pojmującego swoje prawa i wiedzącego czego pragnie. O tej różnicy piszący często zapominają.

O pismach dla ludu innym razem pomówimy, dziś nas zajmą książki, wydawane dla dzieci i młodzieży.

Liczne wydawnictwa, tak zwane gwiazdkowe, okazują, że w nich tak pod względem formy jak treści znaczny robimy postęp, nie tak wszakże wielki, aby mógł zadowolić wszystkie wymagania danej chwili.

Odłożywszy na stronę liczne tłomaczenia (dość szczęśliwe niekiedy), kompilacye i przeróbki z obcych języków, gdy zastanowimy się nad książkami i książeczkami oryginalnie napisanemi dla młodej generacyi, postrzeżemy że wydatną ich cechą jest mniej lub więcej udatne naśladowanie maniery stworzonej niegdyś przez autorkę „Pamiątki po dobrej matce.“ Kogo znów za wzór sobie brała panna Tańska, późniejsza Hoffmanowa, wiadomo każdemu, co chociaż powierzchownie obeznany z literaturą powszechną. Świat konwencyonalny, przyzwoity, grzeczny, ale blady i pozbawiony życia; świat paniczów i panienek, dobroczynnych w sposób teatralny, egoistyczny, kastowy, świat tak właściwy

utworom pani Hoffmanowej, iż więcej określać go nie widzimy potrzeby. Świat ten nie mający nic, albo bardzo mało co wspólnego z obecnem życiem naszego społeczeństwa, rozwielmożnił się nietylko w pojęciach, ale w samej zewnętrznej formie utworów wszystkich późniejszych autorek, które, jeźli z drobiazgowością naśladowały nawet ujemne strony dzieł Hoffmanowej, za to nie umiały ożywić swoich wypracowań tą gorącą miłością rzeczy ojczystych, która się przebija w każdej powiastce, w każdym niemal jej wierszu; dla tej to miłości przebaczyła jej krytyka wiele grzechów pedagogicznych i literackich.

Zdanie to nasze nie spodoba się zapewne zapalonym wielbicielom, a szczególniej wielbicielkom, talentu redaktorki „Rozrywek“ chociaż ono w niczem jej nie ubliża. Hoffmanowa spełniła zaszczytnie swoje posłannictwo, odpowiednio do ducha swojego czasu, ale ani na krok nie posunęła się dalej...

Naśladowczynie jej, a są niemi prawie wszystkie znakomitsze autorki polskie, do czego same głośno się przyznały lub przyznają, pod wpływem rozjaśniających się pojęć społecznych, filozoficznych, a głównie pedagogicznych, modyfikują swoje poglądy i zwolna wkraczają w sfery, które ich mistrzyni przeczuwała zaledwie.

Prawdziwie twórczej, oryginalnie piszącej autorki, naturalnie w zakresie literatury pedagogiczno powieściowej, nie mamy ani jednej. Z wyjątkiem nieodżałowanej pamięci Gabryelli, nie mieliśmy ani jednej z wyższem artystycznem poczuciem i głębszym na świat poglądem piszącej dla młodzieży kobiety. Na gładkich piórach i na zręcznie, a czasem tylko pracowicie wykonanych robótkach, nigdy nam nie zbywało i nie zbywa.

Tymczasem pracowników i pracownic mnoży się coraz więcej, czekajmy więc, może niebo, tak na nas pod względem twórczości, artystycznej łaskawe, ześle dla maluczkich takiego lub takich mistrzów, jak mają dorośli. Czekajmy aż zjawi się autor lub autorka wyższego talentu, co nie będzie uważał za poniżenie siebie, pracując dla swych młodszych sióstr i braci, a tem samem wytrąci pióro z rąk nieudolnych.

Niejednemu bowiem albo niejednej zdaje się, że dość gdy do swego wypracowania użyje sporej dozy wyrazów zdrobniałych aż do ckliwości pieszczotliwych, gdy przy każdej sposobności wystąpi z całym arsenałem przestróg, napomnień i spowszedniałych morałów... a książka dla dzieci gotowa!

Dziś żąda się czegoś więcej od takiej książki, jeśli rzeczywisty ma przynieść pożytek. To *coś* pozwalamy sobie sformułować w kilku zdaniach.

1-e Uwzględnić zasadnicze wymagania pedagogiczne, a w szczególności oddziaływać zarówno na wyobraźnię jak i na rozum, przewaga na jedną albo drugą stronę wywołuje zawsze ujemne skutki.

2-ie Nie pomijać psychicznych właściwości wzrastającego człowieka, lecz sumiennie je badać, i po wielokrotnych obserwacyach, przedstawić obrazowo pochód budzących się i rozwijających uczuć i myśli pod wpływami zewnętrznemi.

3-ie Mniej pięknych frazesów, a więcej pięknych czynów, z których młody czytelnik, pociągany samą naturą rzeczy, wyprowadzi pożądane wnioski.

4-e Formę utworów dla młodzieży uczynić o ile możności artystyczną, obrazową, zajmującą, a zawsze poprawną pod względem gramatyki i stylu.

Nakoniec po 5-te tendencya w najdrobnieszym utworze młodzieży poświęconym, powinna być szlachetna, ogólno-ludzka; nie powinna służyć żadnym wyłącznościom społecznym, religijnym, filozoficznym, a więc świat, z którym się ma młody umysł zapoznać, nie powinien się ograniczać żadnemi konwencyonalnemi ścieśnieniami.

Do tych naszych uwag, zdaje się, mówiąc o autorach polskich, nie potrzebujemy dodawać, że zawsze i wszędzie piórem ich kierować powinna święta miłość rodzinnej ziemi i rzeczy swojskich.

Czytelnik, który poznał nasz pogląd na tego rodzaju publikacye, z łatwością pojmie, jak skwapliwie wzięliśmy się do przejrzenia zbioru (drugiego) oryginalnych powiastek, opowiadań i komedyjek dla młodzieży, które zaszczytnie znany pedagog i literat p. Władysław Nowicki, wydał niedawno pod ogólnym tytułem „Szlachetna Zabawa.“ W zbiorku powyższym wydawca kierował się widocznie pewną myślą i wybrał do niego to, co, *jak na teraz*, było najlepszem.

Jakoż rzeczywiście znajduje się tu wiele pięknych rzeczy, mogących istotnie stanowić szlachetną i pożyteczną zabawę dla młodych umysłów nie stroniących zbytecznie od książek, lecz owszem znajdujących w nich zajmującą rozrywkę.

Książka pana N. zawiera kilka drogocennych pereł, które prawdziwą są jej ozdobą. Do tych pereł zaliczamy:

Prześliczny wierszyk pani Ilnickiej owiany duchem szczerej pobożności; we właściwem też miejscu, na samem czele książki został pomieszczony.

„Młodość Bolesława Krzywoustego“ Trafnie wybrane ustępy z „Synów Królewskich“ Kraszewskiego. Sędziwy mistrz nasz w kilku dosadnych rysach daje poznać młodemu czytelnikowi dawne obyczaje rycerstwa polskiego, i w jaki sposób upływała młodość jednego z dzielniejszych królów naszych. Takie rzeczy może czytać każdy i każda, i zawsze głębokie zostanie w ich umyśle wrażenie. Szkoda, że pan N. więcej nie zaczerpnął z bogatej skarbnicy Kraszewskiego, wieleby się tam znalazło rzeczy odpowiednich do jego publikacyi.

„Z pamiętników pensyonarki“ przez panią Maréné (Morzkowską). Znakomita powieściopisarka nasza w drobnej tej swojej pracy pokazała wyraźnie, że nie masz tak mało znaczącego przedmiotu, któryby nie można uczynić zajmującym. Pomijając styl prześliczny, jakaż to gruntowna znajomość serca dobrego, ale rozpieszczonego dziewczęcia! Jakże cudnie przedstawiony charakter dzikiej, szydzącej ze wszystkich i wszystkiego jej towarzyszki, biednej sieroty, która dokuczając drugim, sądziła że tym sposobem stłumi łzy własne, co jej się cisnęły do oczu. Zakończenie tak rzewne, a jednak tak prawdziwe, iż najobojętniejszy czytelnik nie może się oprzeć wzruszeniu.

Również zajmująco, z wydatną myślą skreślony jest przez p. Zielińską „Obrazek z życia szkolnego“. Autorka pojęła doskonale, że lepiej się przekonywa młode umysły przez trafnie podany przykład, niżeli przez napominania, a raczej gderania, nie mające często wielkiego z sobą związku. Obrazowanie żywe, polszczyzna wyborna.

Inne utwory i utworki znajdujące się w książce pana N. pomijamy milczeniem, nie dlatego aby one były bez wartości, uchowaj Boże; wszystkie są gładkim poprawnym stylem wypowiedziane, bo gdyby było inaczej, nie znalazłyby tu miejsca... ale też nic więcej o nich powiedzieć nie można. Podobne są one do pięknych baniek mydlanych, które pęknąwszy nie zostawiają po sobie głębokiego wrażenia. Lichota będzie lichotą, choćby ją znana i uznana firma osłaniała.

J. Pracki.

Opis Ryciny Kolorowéj.

Ubranie strojne wizytowe dla młodej panienki. Spódnica z gładkiego kaszmiru suto zagarnirowana plisowaniem ozdobiona z boków patkami z materyi faille, zakończonemi u dołu w pukle. Szalowa draperya i stanik z materyału mille fleur: sute kokardy z wstążki.

Ubranie wieczorowe. Spódnica atłasowa cała ułożona w kontrafałdy na dobrze dopasowanej podszewce. u dołu fałdy puszczone wolno podszyte szeroką walansienką, z pod której wysuwa się atłasowe plisowanie. Vêtement krótko à panier podpięte jest z aksamitu wytłaczanego w deseń, zakończone wszywką i koronką. Kwadratowy wykrój szyi otacza suta riusza z crepe lisse i przybranie z koronki; odpowiednie zakończenie przy rękawach zaledwo sięgających do łokci.

Ubranie na obiad proszony. Suknia princesse z jasnej materyi faille zakończona plisowaniem i dopełniona draperyą à panier, ma wzdłuż przodu dodane fałdowanie z materyi w dwóch odpowiednich kolorach przedzielone w środku sutym wachlarzowym garnirunkiem z koronki. Takaż koronka przy panier i u rękawów. We włosach gałązka róż.

Od Redakcyi.

Tygodnik Mód i Powieści jak i Przyjaciel Dzieci, w kwartale drugim r. b. wychodzić będą podtemi samemi co dotąd warunkami. Upraszamy o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnej *wprost do Redakcyi*, gdyż tylko tym jedynie sposobem dalsze przesyłanie pism bez zwłoki następować może.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie	. . .	**rs. 2 kop. 50**
Półrocznie	. . .	**rs. 5**
Rocznie	. . . .	**rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie	. . . . . .	**rs. 1.**
Półrocznie	. . . . . .	**rs. 2.**
Rocznie	. . . .	**rs. 4.**

Nizką tę cenę pomimo zwiększenia kosztów wydawnictwa, utrzymujemy bez zmiany, aby prenumeratę pisma uznanego już w swéj użyteczności, zrobić przystępną dla każdéj rodziny.

Adres: do **J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci. w Warszawie** *ulica Chmielna Nr. 1530 (20 nowy).*

Przyjaciela Dzieci Nr. 12 wyszedł z druku i zawiera:

Z Paryża do Pekinu. — Jeleń nad wodą (wiersz).—Poeta Pastuszek. — Cerkiew św. Andrzeja (z drzew.). — Igława wyniosła (z drzeworytem). W Dodatku powieściowym: Zatracony.

Do dzisiejszego N-ru **Tygodnika Mód** dołącza się rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 11 Марта 1880 г. Redaktor J K. Gregorowicz. Wydawca E Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

SAWANTKA.

przez

mistres Annie Edwardes

przekład z angielskiego

przez J. B.

(Ciąg dalszy).

Jakoż objął ją spojrzeniem tak głębokiem na jakie tylko zdobyć się mogą oczy dwudziesto-pięcio letniego mężczyzny bez ubliżenia kobiecie, poczem odskoczył w owies aby mogła przejść swobodnie, uchylił nieco kapelusza i chwilkę popatrzywszy za nią poszedł w swoją drogę. I tak skończyła się cała przygoda — bo w życiu tak jednostajnem jakie wiodła Dafne Chester, spotkanie nieznanego dystyngowanego młodzieńca w piękny dzień letni przy pomocy trochę marzenia może uchodzić za przygodę.

Dwie te istoty spotkały się z sobą—może los całego życia zależy od tego czy przemówią do siebie—ale oni milczeli. Aż nagle pojawia się *deus ex-machina* pierwsze widzialne ogniwo ciężkiego krępującego nas łańcucha, który podobało nam się nazwać *przeznaczeniem*.

Nieznajomy, czy zatopiony w myślach czy tak zajęty cygarem, upuścił list; i Dafne uszedłszy zaledwie kilka kroków, spostrzegła leżący na ziemi; pochyliła się, i jako nieodrodna córa Ewy, przeczytała adres nakreślony kobiecem pismem na welinowej, satynowanej kopercie. Koperta była czworokątna, trzy razy większa od przestarzałych kopert jakie pani Chester widywała w Fief-la-Reine u ciotki Teodory.

Sir John Severn,
Royal Engineers, poste restante
Jersey.

Przeczytawszy adres, Dafne trzyma list w ręku—ciekawość zamienia się teraz w skrupuł sumienia.

Co cię to obchodzi? szepcze pycha. Rzuć list skąd go podniosłaś, po co masz pochlebiać nienasyconej próżności męzkiej!

Miałażbyś zawracać się nie pytana nie proszona, jak gdybyś koniecznie pragnęła poznać się z tym młodym człowiekiem? Ależ to zgubienie listu może wywrzeć wpływ na całe jego życie, mówi dobre serce Dafny. Może to list od żony? biedny młodzieniec! (na tę myśl westchnienie współczucia wydarło się z jej piersi) a może od narzeczonej... Gdybym była młodą! gdyby istniał jeszcze dla mnie świat uczuć, jakże boleśnie uczułabym stratę listu miłosnego!... Tak, jest to święty obowiązek względem bliźniego, bez względu czy bliźni ten jest młody czy stary... I zapuściwszy się w sferę rozumowań o wzniosło-abstrakcyjnej moralności, pani Chester już się nie waha:

„Zdaje mi się... myślę, że to pan zgubiłeś ten list.“

Szła bardzo prędko aby go dogonić. Twarz jej poczerwieniała, pierś podnosiła się przyśpieszonem tchnieniem, ale obejście jest poważne i zimne, najlżejszy uśmiech nie zaigrał na ustach.

Wzrok John'a Severn' nawykły w ostatnich czasach do piękności *anglo-indyjskich* których nie cechuje bynajmniej powaga i oziembłość, zatrzymał się na pani Chester z niewysłowionem uwielbieniem—szczęściem tak była zmięszana, że tego nie dostrzegła.

„Przykro mi bardzo że dla mnie tyle trudu zadałaś pani sobie“ odrzekł, machinalnie kładąc list do kieszeni.

„Może to być list od żony, ale z pewnością nie od narzeczonej — pomyślała; nie podobna aby młody człowiek przyjął tak obojętnie odzyskanie miłosnego listu.

— I w taki upał jeszcze! doprawdy nie umiem dość podziękować, rzekł znowu.

— Nie ma pan za co dziękować—zresztą nawykłam do upału.

I powiedziawszy to jak najspokojniej, zawróciła się chcąc odejść.

„Sądzę że nie jestem zbyt oddalony od morza, rzekł sam nie wiedząc co mówi, byle tylko zatrzymać ją choć chwilkę, byle doczekać się choć jednego spojrzenia jej pięknych oczu, które dotąd ani razu nie spotkały się z jego wejrzeniem.

— Na wyspie tak nierozległej jak Jersey, nigdzie nie może być daleko od morza, odrzekła lakonicznie jednak zwolniła nieco kroku.

Młodzieńcza siła i życie drgające w całej przyrodzie, odbiły się aż w zlodowaciałem sercu Dafny. Słysząc szepty kukułek i wesołe nawoływanie się drozdów, Dafne uczuła jakby budzące się w sobie życie, i jedna sekunda dała jej teraz lepiej poznać niż całe upłynione trzy lata, że czerwiec jest jakby uosobieniem miłości. W ciągu niespełna minuty, poznała że nie jest tak bardzo nieprzyjemnie rozmawiać z mężczyzną młodszym od plebana i więcej ukształconym niż okoliczni fermierzy i wieśniacy — a jakkolwiek przeświadczenie to niczem się niby nie zdradzało, jednak sir John Severn zdawał się je odgadywać.

— O ile doświadczenie moje dozwala mi wnosić, zdaje się że drogi w Jersey są tak systematycznie przeprowadzone, że wędrowiec zawsze trafi skąd wyszedł; jest to *Hampten Court* na małą skalę. Myślę więc że ta ścieżka gdzieś mnie doprowadzi. Chciałbym zdjąć szkic najwyższego przypływu w Queruée, mówił dalej (podczas gdy Dafne podnosząc nieśmiało oczy spotkała się z jego spojrzeniem) w szkicu tym przedstawiłbym wybrzeże francuzkie, a nadto pragnąłbym pomieścić na pierwszym planie jedną z tych starych okrągłych wieżyc — jestem przekonany że mogłabyś pani wskazać mi odpowiednią miejscowość.“

Pytanie to dotknęło słabej strony Dafny, która także jest nieco artystką, choć bardzo, bardzo mierną i sama czuje doskonale jak wiele jej do tego brakuje. Malując zapomina o sobie, a uwielbiając formy i barwy przyrody, probuje odtwarzać je w słabych, drobiazgowych akwarellach. Jedynym jej nauczycielem była ciotka Teodora, której sztuka ograniczała się do nader słabych początków, jakich jej udzielano na pensyi. Ale obdarzona wrodzonem poczuciem, Dafne odgadywała że malarstwo powinnoby odtwarzać czyste linje i żywy koloryt łąk i lasów, całkiem inaczej niż mgliste pejzaże jakiemi ona i ciotka Teodora obwieszają ściany domu w Fief-la-Reine.

Żyła zbyt oddalona od świata i tak nie znała jego pojęć, że tytuł położony przy nazwisku, nie mógł żadnego na niej zrobić wrażenia. Sir John mógł być pięćdziesiąt razy sir, i nie nadałoby mu to w jej umyśle żadnej wyższości nad prostego *esquire*; ale myśl że jest artystą zapewnia mu jej łaski przynajmniej na pięć minut.

„Jeżli przejdziesz pan tą ścieżyną jeszcze przez dwie łąki, dojdziesz nią do małej Cueilette; dalej,—wszak znasz pan fermę master'a Hamon?

— Fermę master'a Hamon? ze wstydem wyznać muszę że nic o niej nie wiem.

— A ulicę Końcową, ciągnącą się po nad groblą?

I tym razem sir John Severn musiał się przyznać do swej nieświadomości.

— No, skoro pan *nic* nie znasz, zwróć się lepiej na gościniec, idź nim prosto, a za kwadrans dojdziesz do Fief-la-Reine; zobaczysz tam pan wielki dom z granitu który wydawałby się pustką, gdyby nie otaczające go róże; morze, piaski, suche porosty okalają go ze wszystkich stron.

W miarę jak to mówiła, twarz jej przybierała zwolna zwykły wyraz smutnego znużenia.

— Pani mieszka w Fief-la-Reine? zapytał.

— Tak jest, odrzekła. Nieco w oddali, na prawo, wznosi się stara okrągła wieżyca; u jej stóp, od strony Francyi, po za zatoką Querée, znajdziesz pan krajobraz jaki zdjąć pragniesz. Jeżli pan zechcesz możesz przejść przez ogród w Fief-la-Reine, nikt panu nie wzbroni wstępu.“

I skłoniwszy się poważnie, z tak lekkim uśmiechem iż nieznajomy zaledwie mógł wnosić z niego, jaki był wyraz jej twarzy w innych okolicznościach, pani Chester oddaliła się nieco zaniepokojona w sumieniu tak niezwykle śmiałem postąpieniem. Jednak w sercu jej błoga zbudziła się nadzieja że szkic nie będzie mógł być skończony przed jej powrotem, a tek samem i artysta nie zniknie na zawsze z ciasnego horyzontu jej życia.

Severn patrzył za nią z wrażeniem przewyższającem przelotne uwielbienie, dopókąd krzewy przyległego sadu nie zasłoniły przed jego wzrokiem tej wdzięcznej postaci. Wtedy poszedł dalej, zapalił nowe cygaro, a po chwili wyjął z kieszeni ów zgubiony list od narzeczonej (tak, od narzeczonej, Dafne omyliła się w przypuszczeniach) rozdarł niedbale połączone z sobą na kopercie piękne błękitne złotem ozdobione litery, i wyjął list złożony, zaczynający się od słów:

„Kochany mój Johnie!

Deptał bujny jęczmień czytając i paląc na przemiany, ale zdawało się że czytał z tak małem zajęciem, jak wstępny artykuł w gazetach po zamknięciu posiedzeń parlamentu.

„Kochany mój John'ie! Pani Hardcastle spodziewa się że odebrałeś nasze listy i to co zawierały w sobie, jeszcze przed opuszczeniem Paryża. Posłałyśmy ci obszerny rozbiór ostatniego wielkiego i ważnego dzieła profesora Drysdale „O wszechpotędze materyi.

„Proszę donieś nam o ile podzielasz zasady i opi-

nie profesora. Bywałyśmy podczas sezonu na konferencyach w Burlington-House i na wszystkich niemal środach i piątkach przy Albermarle Street. Sądzę że w przyszłym miesiącu odbędzie się posiedzenie paleontologiczne Towarzystwa królewskiego —czyż potrzebuję dodać że paleontologia żywsze—jeżli to być może obudziłaby we mnie zajęcie gdybyś nam towarzyszył,..

„Fraülein Shnapper spodziewa się że zbadasz dokładnie porfiryczne skały wysp la Manche, a szczególniej starać się będziesz dojść jaka rzeczywiście ilość igłowatej substancyi mineralnej zawiera się w napotykanym w nich węglanie wapna i krysztale górnym. Może będziesz łaskaw porobić notatki dla siostr moich, jeżli odkryjesz pokłady gnejsu w skałach pierwotnych....

„Dziwnym zbiegiem okoliczności, zdaje się że pierwsze spotkanie nasze nie nastąpi w Londynie ale w Jersey. Lady Lidja Jerningham (którą zapewnie przypominasz sobie) zaprosiła mnie abym przyjęła udział w paro-tygodniowej wycieczce jej yachtem *Liberta*, a sądzę że celem jej będą wyspy la Manche. Ale proszę najusilniej niech to *nic a nic* nie wpływa na postanowienia twoje; wszystko zależeć będzie od tego które okolice pan Jerningham uzna za najprzyjaźniejsze dla rybołówstwa, i bardzo by być mogło że w ostatniej chwili popłyniemy do Norway,—byłoby więc z mej strony brzydkiem samolubstwem zatrzymywać cię w Jersey dla mnie. Kuzyn mój, Felix Broughton, powrócił do Anglii. Nie wiem czy przypominasz sobie jego fotografię którą oglądałeś w albumie Zoe, na której przedstawiony jest wsparty o barierę, z ulubionym Kalifem na ramieniu. Prosił mnie aby ci oznajmić jak wielką sprawi mu radość poznanie ciebie, gdyż już z opinii jaką umiałeś wyrobić sobie, nauczył się cenić cię wysoko. Lady Lidja jest tak dobra iż zaprosiła go na pokład *Liberta* aby przyjął udział w naszej wycieczce. Mam nadzieję że niedługo mieć będę wiadomość od ciebie, i że nie zapomnisz o porfirowych skałach Fraülein Shnapper, a tymczasem, kochany John'ie polecam się twej pamięci.

„Kochająca cię
„Klementyna Hardcastle."

List ten miłosny tak nic a nic nie grzeszący gorącem uczuciem, napisany był pięknym, poprawnym a jednak nie zbyt wyraźnym charakterem, było to pismo na w pół męzkie, zdradzające kilkoletnią pracę i modną edukacyę. Sir John nie długo bawił się czytaniem i nie bardzo zdawał się zadowolniony z treści listu. Niestety! zaręczyny jego już od tak dawna pozbawione były najlżejszego nawet bieniu romansu, że nowe rozczarowanie stało się niemożebnem. Iluż znalazłoby się mężczyzn których serca nie zlodowaciałyby na samą myśl o kociece oddanej bezgranicznie paleontologii, i mającej niezachwiane przekonanie o *„wszech-potędze materyi!"* Severn uważa to za nieuchronny i nieodłączny rys charakteru miss Hardcastle, i poddaje się temu z rezygnacyą. Co prawda, był on jeszcze w tej szczęśliwej epoce młodości nie znającej i nie lękającej się cieni, a z wieku młodocianego odrzucił tylko to, co nie warte było zachowania. Zostało postanowione że w sierpniu ma zostać mężem miss Hardcastle, w lipcu Stowarzyszenie królewskie odbywać będzie posiedzenia paleontologiczne na które ma towarzyszyć narzeczonej — ale obecnie jest dopiero czerwiec. Miałże myśleć o przyszłości, gdy ciepłe, wonne powietrze tchnęło życiem, gdy niebo było tak jasne i czyste, tak uśmiechało się do jego marzeń? List miss Hardcastle jest zimny jak uczość, zimny jak ona sama — ale twarzyczka która uśmiechnęła mu się przed chwilą (i którą zamierza jeszcze zobaczyć) była tak słodką i miłą jak lato, ciepłą jak słoneczne promienie. Może nie był zbyt mądrym i głębokim filozofem, ale w podobnym razie myśl o własnem bezpieczeństwie jest cnotą o którą dwudziesto-pięcio letni mężczyzna zazwyczaj najmniej się troszczy.

Nie trudno mu będzie trafić do Fief-la-Reine.

„Jest to wielki dom z granitu, który wydałby się pustką gdyby nie otaczające go róże; morze, piaski, suche porosty okalają go ze wszech stron."

Już sam ten opis byłby dostatecznym, choćby nawet nazwa Fief-la-Reine nie była wykuta po nad wejściem od podwórza, dziwnemi mchem porosłemi literami. Doszedłszy tu, Severn zatrzymał się; otoczenie pięknej nieznajomej kobiety, zawsze wywiera jakiś urok na umysł mężczyzny? Po chwili, zgodnie ze wskazówkami udzielonemi przez Dafne, przeszedł wzdłuż ogrodu, między rozciągniętemi na porostach sieciami rybaków i tak doszedł aż do starej okrągłej wieżycy, stojącej na wzgórzu.

Do koła zalegało głuche milczenie, nie przerywane ale uwydatnione jeszcze ponurym szumem morza i monotonnym szmerem wiatru przesuwającego się wśród suchej morszczyzny, jedynej roślinności na tych piaszczystych płaszczyznach. Zwraca wzrok ku ukwieconym rabatom Fief-la-Reine; widzi patryarchalne drzewo figowe, pod cieniem którego miss Teodora śni że jest ubrana w różową suknię, że tańczy przy dźwiękach dobrze znanej muzyki, i słucha komplementów datujących z przed lat czterdziestu. Widzi jak przypływ morza zaczyna zalewać wszystkie przystanie i małe golfy zatoki Querée, tylko niektóre cyple skał które woda zaleje za chwilę, czernią się jeszcze tu i owdzie na powierzchni. Ach! gdybym tak miał z sobą dubeltówkę, pomyślał Severn zapalając nowe cygaro, mógłbym dać ognia do tego ptaka morskiego, którego dostrzegam tam daleko na skale, poruszającego się ciągle; jakże on wielki! mówił sobie przyglądając mu się bacznie podlatującemu w tę i ową stronę; lecz pomimo doskonałej znajomości wszystkiego co się odnosiło do sportu, nie mógł rozpoznać do jakiego ptak ów należy rodzaju. Wyjął z kieszeni lunetę, przyłożył do oczu i krzyk przytłumiony wydarł się z jego piersi. Przedmiot który dostrzegł poruszający się w oddali, to nie ptak morski ale.... dziecko. Severn nie zawahał się ani chwili; nie zna tych wybrzeży ani prądów, nie wie jak daleko będzie miał grunt pod nogami, jak długo będzie musiał płynąć aby się dostać do dziecka uwięzionego na odległej skale—to już rzecz przeznaczenia—on uważa sobie za obowiązek ocalić a przynajmniej probować ocalić tę próbkę człowieczeństwa, która bez jego pomocy niechybnie zginąć musi.

Przez sekundę zastanowił się nad swojem i dziecka położeniem, poczem zawrócił się, przebiegł szybko ogród Fief-la Reine i za dwie minut znalazł się nad brzegiem morza. Na piasku stoi samotna łódź z wypisaną nazwą *Wesley* (Severn nigdy jej nie zapomni) ale łódź to tak ciężka iż zaledwie sześciu ludzi zdołałoby spuścić ją na wodę. Jak okiem dojrzeć, nie widać nikogo; rybacy po większej części pozostawiają swe łodzie daleko, około skał Minquierstarcy i dzieci dopomagają w polu żniwiarzom. Tak więc Severn sam jeden spełnić musi obowiązek jaki przyjął na siebie — jak to zazwyczaj miewa miejsce co do najważniejszych obowiązków życia ludzkiego. Krzyknął głośno, w nadziei że może krzyk jego dosłyszy jaki mieszkaniec rybackich chatek rozrzuconych po okolicy—ale echo tylko mu odpowiedziało. Wtedy postanowił rzucić się wpław, wiedziony mężnem sercem i niezachwianą odwagą. W pewnej odległości od wybrzeży woda nie jest zbyt głęboka, sir John zaszedł już tak daleko że wyraźnie widzi dziecię, woda sięga mu do kolan. Minął cały szereg wązkich przejść, woda dochodzi do ramion, uczuł że pod nogami zbrakło mu gruntu.

Ależ gdyby Dafne idąca spokojnie przez pole, mogła widzieć jak mała jest szansa ocalenia, jej synka jak pływak powoli może się posuwać płynąc przeciw prądowi przypływu cóżby się z nią działo! Severn walczy z bystrością prądu, opiera się ławicom piasku, robi gwałtowne wysilenia, a skała na której Pawełek stoi jak przykuty, zaledwie już jak mały czarny punkcik wyłania się z pośród fali, które ją zaleją za chwilę.

III.

Pocałunki.

Ale Dafne idzie spokojna, żadnem czarnem nie dręczona przeczuciem, i wolnym krokiem wracając do domu, opowiada dzisiejszą swoją przygodę cioci Hosi z którą się spotkała na drodze.

Szlachetna krew płynąca w żyłach najmłodszej z siostr Vansittart, nie daje się tak od razu poznać jak u miss Teodory, której profil zdradza kilka pokoleń arystokratycznych przodków — ale posłuchajmy ciocię Hosię mówiącą, patrzmy na jej uśmiech, a zbudzi się w nas przekonanie że znajdujemy się w obec istoty stokroć delikatniejszej, szlachetniejszej i wznioślejszej niż najstarożytniejsze szlachectwa.

Dystyngowane ruchy biednej miss Teodory, budzą wspomnienie tak smutne jak woń zwiędłych kwiatów, wspomnienie że znała lepszą, świetniejszą przeszłość zaś prosta i swobodna wesołość cioci Hosi tak rozjaśnia teraźniejszość, iż ani na myśl nikomu nie przyjdzie że znała lepsze czasy.

Kto imie jej, Hortensya, przerobił na Hosia —nie wiadomo. Wieśniacy z okolic Fief la-Reine, metodyści oswojeni z imionami z Pisma św. ilekroć chcą jej głębszy okazać szacunek, nazywają ją miss Hosea, a nie raz się zdarza iż listy przychodzące do niej w interesach fermy lub wieśniaków, adressowane są do miss Hosannah. Powszechnie jednak w całej okolicy jest znana, kochana i szanowana pod nazwą „cioci Hosi."

Misses Vansittart nie posiadają dostatecznych funduszów aby mogły hojne rozdawać jałmużny, których zresztą, w właściwem słowa tego znaczeniu nie przyjęliby mieszkańcy Querée. W pierwotnem tem społeczeństwie, wada nieprzezorności zupełnie jest nieznaną; każdy mieszkaniec jest choćby współwłaścicielem łodzi, ma swój kawałek ziemi i chałupkę, każda gospodyni posiada szafę z bielizną nagromadzoną powoli i pół tuzina łyżek. Ale wszędzie gdzie tylko biją serca ludzkie, znajdzie się zawsze zajęcie dla tych co wzięli sobie za zadanie wstępować w ślady dobrego Samarytanina. W czasach gdy burze morskie powodują rozbicia statków, gdy choroba przykuje kogoś do łoża boleści, gdy małe dzieci pozostaną sierotami, słowem w ciężkich chwilach łez, smutków i boleści jakie bywają wszystkich śmiertelnych udziałem — każdy pragnie mieć obok siebie ciocię Hosię, gdyż nikt tak jak ona pocieszyć nie umie. Nie znalazłby chorego któryby nie pokładał większej ufności w jej doświadczonych staraniach, niż w lekach doktorskich; nie było

umierającego któremu by nie osłodziła ostatnich chwil życia, smutnego z którymby nie zapłakała razem. Uboga we wszystko, w łzy tylko jest bogata.

Gdy miss Teodora odwiedza sąsiadów, przybiera jakąś sztywną, jakby urzędową minę, widać przypominając sobie czasy dawnej świetności, kiedy to pułkownik Vansittart był komendantem fortecy i dowódzcą garnizonu, i było obowiązkiem jego córek nieść pomoc moralną żonom i dzieciom żołnierzy skazanych za przekroczenia. Miss Teodora nie umiała wywiązywać się inaczej z obowiązków miłosierdzia, jak tylko prawiącc ierpiącym grzesznikom o sprawiedliwości Bożej, oraz że cierpienia ich i smutki są karą i zadośćuczynieniem za winy, oraz rozdając im suche traktaty religijnej treści. Ale że te pociechy duchowe drukowane były albo w języku angielskim, który wieśniacy bardzo mało znają, albo w poprawnym francuzkim którego nie rozumieją zupełnie, nic więc dziwnego że biedacy uważali jej odwiedziny za jałowe pole lub porosłe zboże, i tylko z konieczności im się poddawali.

Ciocia Hosia przeciwnie mówiła biegle miejscowem narzeczem, a głos jej był słodki i dźwięczny. Z pomocą Małgosi i jej przyszłego zajmowała się gospodarstwem rolnem, niestety! bardzo ograniczonem: jest ogorzała od słońca, wyschła od wiatru, jak źdźbło morszczyzny, z przeszłej jesieni. Może to porównanie nie zbyt pochlebne, ale w tej odosobnionej, ze wszystkich stron morzem oblanej miejscowości, tak wszędzie spotykamy się z morszczyzną, iż mimowoli na myśl nam przychodzi. Morszczyzna zaściela wybrzeża, ogrody, pola i biały dym swój puszcza przez kominy chatek. Świeża, sucha czy spopielona, nasyca powietrze przenikającym swoim odorem *sui generis*.

W lecie nosiła świeżą perkalikową, w zimie wełnianą suknię i zawsze jeden kapelusz wiejski, oto całoroczny jej ubiór. Siała, pełła, pracowała w polu, pilnowała zbioru morszczyzny, roboty jabłeczniku, a mimo to zawsze pozostała *lady* a co więcej *lady* zadowolnioną ze swego losu.

Obie starsze jej siostry, pomimo ćwierć wiekowego już pobytu w Fief-la-Reine, zawsze z żalem i westchnieniem wspominają Bath, Bringhton i Cheltenham. Szczególniej miss Teodora, której zadaniem podtrzymywać społeczny urok rodziny, przez bywanie w ważnych okolicznościach na obiadach u okolicznej szlachty, cierpi periodyczne ataki ponurego smutku i *spleen'u*, powodujące zawsze odwiedziny doktora. Ciocia Hosia całkiem wolną jest od tych utrapień. Obejście jej jest nieco szorstkie, tak coś jak wiatru który nie pytając o pozwolenie dotyka twarzy, mowa bywa gorzka ale działa zbawiennie, jak zioła lekarskie zbierane w jej ogrodzie; co zaś do twarzy o tej sama mówi „że kwiat jej brzydoty już przekwitł.“

„Jestem teraz przystojniejsza niż gdy miałam lat dwadzieścia-pięć, a przed śmiercią stanę się piękną zupełnie“ żartowała nie raz, ani się domyślając że pomimo nie ładnych rysów, posiada pewien wdzięk i powab, na jakich często zbywa najświeższym twarzom i najregularniejszym profilom.

„Wino przejmuje smak beczki w jakiej jest zawarte,“ powiedział pewien dowcipny autor — podobnie i dusza odbija się w ciele w którem działa. Aforizm ten przychodzi mi na myśl ilekroć pomyślę o szlachetnej postaci Hortensyi Vansittart.

— Ciociu Hosiu, widać dzień dzisiejszy jest dniem ważnych wydarzeń, mówiła Dafne dochodząc do Fief-la-Reine; Jan i Małgośka dopatrzyli narescie po pięciu latach oczekiwania, że dość już uzbierali bielizny i łyżek aby się zakochać w sobie, a ja, ja Dafne Chester, rozmawiałam z jakimś nieznajomym!

— Zle zwykle chodzi w parze, odpowiedziała ciotka Hosia; Jan i Małgośka to para niedołęgów. Im myśleć o zakochaniu! ależ dwie tak ograniczone mózgownice połączone, spotęgują jeszcze swoją głupotę... I przyszło im to do głowy teraz właśnie kiedy najwięcej w polu roboty... Co zaś do *excursyonistów* za pięć funtów mówiła dalej drwiącym tonem, im dalej trzymać się będą od Tief-la-Reine i od moich gwoździków, tem lepiej trzymać o nich będę. O tych pięcio-funtowych *excursyonistach* to tylko powiedzieć mogę, że są to stworzonka z *cabbage-sticks* (z laseczką) w ręku, strojne w czerwone z żółtem krawaty.

— Czemże zasłużyłam na takie posądzenie, ciociu Hosiu, zawołała mocno rumieniąc się pani Chester, mój nieznajomy był...

— Nie trudź się objaśnieniami, moje dziecko, bom ich wcale nie ciekawa.

— Powiem ci, ciociu, przynajmniej jego nazwisko: Sir John Severn, — wszak to ładnie brzmi w uszach?

Ciocia Hosia wpatrzyła się niespokojnie w twarz młodej kobiety,

„Nie potrzebuję pytać, rzekła po chwili, że zapewnie sir John mówi powoli, przeciągle i pewnie nie omieszkał oznajmić mojej siostrzenicy Dafne szczególniejszego swego uwielbienia, a na życie i jego obowiązki patrzy przez lornetkę i wyraża się pogardliwie — gdy chodzi o tegoczesnych elegantów, łatwo można się tego domyśleć.

— Sir John nie mówi przewlekłym głosem, nie ma lornetki i jestem pewna ani pomyślał o jakiemś uwielbieniu, odpowiedziała.

Ale mówiąc to zarumieniła się; w życiu tak bezbarwnem i pustem jakie wiodła, można sobie pozwolić tego zbytku aby mieć—sumienie. Miała je Dafne i zadrasnęła go nieco, a przypominając jej ostatnie spojrzenie młodego Severna, sumienie wyrzucało jej kłamstwo.

— Nie mówi przeciągłym głosem, nie ma lornetki, nie prawi oklepanych komplementów—jeźli tak, droga Dafne, spotkałaś jakiegoś fenixa. Ale, niestety! dodała po chwili, w najświetniejszych czasach mojej młodości, nie bardzo wierzyłam w istnienie fenixów, a dziś jestem już za stara i za przesądna aby zmieniać przekonania..

A ponieważ sir Severn zapewnie jutro rano odpłynie statkiem, nie będą mieć sposobności nawrócenia, cię, droga ciociu... Ale któż to idzie naprzeciw nas?

Mała już tylko przestrzeń oddziela je od fermy.

— A to co! Małgosia na podwórzu!... musiała chyba najkrótszą drogą powrócić z pola... Załamuje ręce... fartuch zarzuciła na głowę... co się stało tej głupiej dziewczynie? Jeźli podobne sceny i ataki nerwowe, są pierwszemi objawami miłości, cze góż nie trzeba się lękać ku końcowi!... rzekła ciocia Hosia.

— Stało się jakieś nieszczęście, zawołała wiedziona przeczuciem Dafne, i zbladła jak chusta. Wypadek jakiś wydarzył się dziecku... Pawełku! Pawełku! gdzie ty, ach! gdzieś ty?

I przerażona, pobiegła jak strzała i wpadła na podwórze, na którem cicha zwykle Małgośka, krzyczała, płakała i śmiała się zarazem.

— Ach, Boże, mój Boże!... biedny chłopczyn a... wielki przypływ... pan Anglik!...

Te i tym podobne wykrzykniki dolećiały do uszu Dafny. Nie zatrzymała się, żadnych nie zadała pytań—serce proroczem wiedzione przeczuciem, odpowiedziało jej w okrutny sposób. Biegnie co tchu w stronę morza, gdzie przed godziną Pawełek szczęśliwy i spokojny bawił się wesoło, goniąc motyle. Minęła szybko drżącą z przerażenia miss Teodorę.

Biegnie wprost ku morzu, aby ocalić jeźli można lub zginąć z ukochanym synkiem.

W tejże chwili silne ramiona przenoszą z *Wesley* na ląd stały uratowanego, zdrowego i wesolutkiego Pawełka. Nie daremnie Severn wydał ów głośny krzyk zanim rzucił się na ratowanie Pawełka, usłyszała go jakaś kobieta doglądająca w poblizkiej chacie chorej żony rybaka i pobiegła na najbliższe pole wezwać ratunku, który opóźniony choćby o minutę, stałby się daremnym. Nie łatwa była rzecz dostać się do chłopca, już to pływając już chodząc, i tylko tak śmiały, odważny i doświadczony pływak jak Severn mógł tego dokazać. Ale stokroć trudniej jeszcze byłoby powrócić na wybrzeże z coraz więcej podnoszącym się przypływem, z dzieckiem które bezwładnie zawisło mu na szyi; zanim jeszcze sir Severn mógł dostać się do niego, nieuniknione niebezpieczeństwo zagrażało już Pawełkowi.

Każdy bałwan zalatujący na ślizgą, morskiemi porostami pokrytą skałę, osłabiał wątły punkt oparcia podtrzymujący dziecko: ale nieco bliżej wybrzeży, o jakie dwadzieścia metrów odległości, sterczała inna skała, nie zalana jeszcze wodą. Tam sir Severn zdołał złożyć swój ciężar.

Ale tu, rozejrzawszy się, poznał że nieuchronna zagraża im zguba; nigdy jeszcze przez całe dwadzieścia pięć lat swego życia, śmierć z tak blizka nie zajrzała mu w oczy.

Wiedział dobrze iż niepodobna w tym stanie morza przepłynąć z dzieckiem jego fale i dostać się na wybrzeże, a wracać samemu?... znieważylibyśmy go podobnem posądzeniem — myśl taka nie pojawiła się nawet w jego umyśle.

— Coś robił chłopcze, sam jeden tak daleko? zapytał, gdy Pawełek wlepił w niego swe wesołe, śmiałe spojrzenie.

— Łowiłem ryby, odrzekł z dumą chłopczyna, oto moja zdobycz! i otwierając zaciśniętą lewą rączkę, pokazał maleńką rybkę, której nie puścił w ciągu przeprawy.

Nie było czasu do namysłu; idąc kanałem w którym woda nie przechodziła za kolana, można było jeszcze dostać się na inną nie zalaną dotąd skałę, ale co czynić potem?... potem nie zostawało już jak stoczyć rozpaczliwą, śmiertelną walkę z bezmiernemi trudnościami. Ożywiony niezachwianą odwagą, Severn pochwycił dziecko i już miał się rzucić w morze, gdy z dala doleciały go głosy. Zatrzymał się, spojrzał w stronę Fief-la Reine, i dostrzegł na wybrzeżu gromadkę cisnącą się około łodzi, — a po chwili *Wesley* kierowana przez najwytrawniejszych w Querée wioślarzy, posuwała się szybko po spienionych falach.

— Aha! ja sam złapałem rybkę, wołał radośnie Pawełek, machając przemokłym kapeluszem, a teraz oto Andrzej i Tourtourel płyną mi pomagać.

A tak straszna ta tragedya zakończyła się w pośród jasnych słonecznych promieni i wesołego krzyku dziecka.

Zanim *Wesley* dowiózł do lądu swoich pasażerów, wieść o strasznem niebezpieczeństwie zagrażającem Pawełkowi rozeszła się między rybakami, i mnóstwo wyrostków zbiegło się nad morze pomódz do holowania łodzi. Wtedy właśnie Dafne dochodziła do domu. Przerażona niewymownie, to tylko pojęła że Pawełkowi zagraża niebezpieczeństwo, i jak

strzała przeleciała przez ogród Fief-la-Reine, obawiając się.. czegóż nie może się obawiać serce matki zdjętej śmiertelnym niepokojem!

Wtem zatrzymała się zobaczywszy swego Pawełka, w którem ześrodkowało się całe jej życie i uczucia, wesoło biegnącego ku niej.

Nieco po za nim szedł sir John Severn: woda płynęła z jego ubrania. Ciocia Hosia nadeszła także, a twarz jej ogorzała od słońca śmiertelną pokryła się bladością. Przybiegła i Małgośka; z przerywanego łzami jej i obecnych opowiadania, Dafne dowiedziała się nareszcie jak niechybnej śmierci uniknął Pawełek i komu zawdzięcza jego ocalenie.

„Mamusiu! Mamusiu! wołał Pawełek biegnąc do matki i obejmując jej kolana, złapałem żywą rybę: patrz! oto ją mam.“ I z tryumfem podnosił w górę maleńką płotkę. Dafne nie wyrzekła ani słowa, nie pochyliła się ku dziecku, nie pochwyciła go w objęcia i nie przycisnęła do serca. Zadrżała, chwiejąc się postąpiła parę kroków i padając na kolana przed sir Severn'em, pochwyciła obie ręce młodzieńca pokrywając je szalonemi pocałunkami...

IV.

Obowiązek.

„Kochana moja Klementyno!

„Czy zechcesz mi przebaczyć gdy wyznam że pierwszy raz w życiu nie spełniłem twoich rozkazów? Wypadek jaki się dziś wydarzył, tak zajął mi całe po południe, iż nie miałem ani jednej wolnej chwilki na szukanie skał porfirowych, węglanu wapna, a cóż dopiero na zajęcie się tak ważnym przedmiotem jak „gneis i krzemian,.“ Powiedz Fraülein Shnapper, iż za zobaczeniem się z nią łatwo mi będzie odpowiedzieć na jej pytania za pomocą *Geologii dla początkujących*. Gdy nareszcie będę tak szczęśliwym iż zobaczę cię po trzech letniem rozłączeniu, wtedy, droga Klementyno, przedstawisz mi krótko i treściwie rzecz „*o wszechwładztwie materyi*“ bo ze wstydem wyznać muszę. iż dotąd jeszcze nie zdobyłem się na odwagę odczytania „dokładnego rozbioru.“ Czyż potrzebuję pisać z jak wielką niecierpliwością oczekuję konferencyi paleontologicznych, bo wiedza i inteligencya moja tak zardzewiała w Indyach, iż nawet nie jestem pewny czy wiem dobrze co to jest „paleontologia.“ Ale wszak będę obok ciebie, więc wytłomaczysz mi co mniej zrozumiałem dla mnie będzie.

„Wzmianka w twoim liście o „kuzynku Felexie“ bardzo mnie zaniepokoiła. Pytasz czy przypominam sobie jego fotografię? a jakże! Strasznie piękny chłopiec; w ręku trzyma cygaro, a na ramionach jego siedzi Kalif, *twój Kalif*. Czy pamiętasz że podpisałem pod fotografią jego „piękna głowa ale pusta“ co cię bardzo rozgniewało. Ja znów uniosłem się powodowany zazdrością co było powodem żywej sprzeczki, po której tak słodkie nastąpiło pojednanie. O tak! pojednanie tak było rozkoszne, iż niebawem znów poróżniliśmy się aby znów się pogodzić.

„Jeźli książka pozostała roztwartą na tej samej stronnicy, jeźli sprzeczki nasze będą tak miłe jak przed trzema laty, nie będę się gniewał o to że pan Brunghton zaliczony został do towarzystwa zgromadzonego na pokładzie *Liberta*. Fraulein Shnapper żąda krzemianów i kryształu górnego; widać w jej germańskiej mózgownicy wylęgło się przekonanie że Jersey stworzona została jedynie w celu zbogacenia geologii — kiedy przeciwnie mogę cię zapewnić że mała ta wyspa zawiera ciekawe żyjące osobliwości, daleko więcej zajmujące i zasługujące na poznanie. Wypadek zrządził że wyratowałem dzieciaka który za daleko zapuścił się między skały przed samym przypływem morza, co dało powód poznania figur tak dziwnie oryginalnych, jakie już tylko na starej porcelanie zobaczyć można.

„Wyobraź sobie trzy *lady* z hrabstw północy, *lady* w całem tego słowa znaczeniu, mieszkające na Jersey w małej fermie na której same gospodarują, co stanowi ich sposób utrzymania. Ratowanie owego chłopca—którego pokrewieństwo z temi staremi paniami wydaje mi się jakieś podejrzane i tajemnicze — spowodowało przemoknięcie mego ubrania, i prawie gwałtem zaprowadzono mnie do Fief-la-Reine (miejsca ich zamieszkania) abym się ogrzał i wysuszył suknie.

„Niech wyobraźnia twoja przedstawi ci wielką posępną kuchnię; do koła duże szafy dębowe stoją pod ścianami. Dwie młodsze miss Vansittart mają lat ile chcesz, byle dobrze po pięćdziesięciu. Jedna z nich, tak zwana ciocia Hosia, ubiera się jak ludność miejscowa, co jednak nie zaciera jej wrodzonej dystynkcyi i wyrazu niewysłowionej dobroci, jakim tchnie cała jej postać. Druga przesadnie wyelegantowana, w przenoszonej jedwabnej sukni, na rękach mitenki, zakrawa na przestarzały portret.

„Domyślam się że nie bardzo wysokie masz wyobrażenie, o mej znajomości kobiecych toalet, ale w tym razie jestem pewny swego, niezawodnie nosi mitenki. Czemże są jednak dwie wyż wymienione miss Vansittart, w obec najstarszej z siostr, miss Izabelli, pamiętającej niezawodnie czasy króla *Jerzego*. Jest wysoka, głucha, rysy twarzy jakby kamienne, cała postać jakaś zagadkowa. Nigdy jeszcze nie widziałem żyjącej kobiety tak odpowiadającej obrazowi w jakim wyobraźnia przedstawia nam Parki. Gdy, nie bez trudności. siostra w mitenkach dała jej poznać moje nazwisko, pomyślała chwilkę wpatrując się we mnie jakby jakimś wewnętrznym wzrokiem, stawiającym jej z kolei przed oczy jeden za drugim dawno ubiegłe wieki, poczem zawołała że znała kiedyś w Edymburgu którąś z moich babek, za owych czasów gdy hrabia d'Artois, późniejszy Karol X żył na wygnaniu w Holy-Rood. Przyznaję iż nie zadziwiłbym się wcale gdyby mi była powiedziała że żyła za czasów króla Artura.

„Ciocia Hosia przeciążała mnie znowu najrozmaitszemi „specyfikami wzmacniającemi“ przyrządzając je z pomocą służącej Małgośki, wyśpiewującej jakieś zaczarowane zaklęcia w nieznanym mi języku; musiałem pić gorący jabłecznik, herbatę z jakiegoś zielska, jakąś nalewkę strasznie korzenną— a! nie masz pojęcia jak straszne brzydastwa musiałem pić jedno za drugiem! Nareszcie przecież pozwolono mi się oddalić, ale z warunkiem że nazajutrz przybędę na wielki festyn. jaki ciocia Hosia wyprawia z powodu szczęśliwego ukończenia zbioru siana.

„Co za szkoda, kochana Klementyno, że nie możesz jak Will Honeywood opuścić choć na jeden dzień Londynu „tej dziedziny zbrodni i węgla“ i przybyć tu napawać się urokiem sielskości i stogów siana. Ale w takim razie trzebaby bezwarunkowo zapomnieć na czas jakiś: o skałach porfirowych, o gnejsie i krzemionach, a szczególniej o kuzynie Felixie.

„Chciej mnie zawiadomić jak tylko będziesz wiedzieć stanowczo gdzie *Liberta* popłynie, i nie kłopocz się bynajmniej myślą że mnie zatrzymujesz na Jersey jak w więzieniu, bo sama myśl że zobaczę niedługo kochaną moją Klementynę, nie da mi uczuć niewoli.

,,Twój niezmienny

„John Severn.“

Oto odpowiedź jaką John Severn wysłał nazajutrz rano na ów list romansowy narzeczonej, nie grzeszący zbytkiem miłości.

Zauważyliście zapewnie, czytelnicy, fakt nie bez znaczenia: w odpowiedzi tej główna figura pierwszego planu została pominiętą.

Opisując narzeczonej w jaki sposób zapoznał się z mieszkańcami Fief-la-Reine, nie wiemy dla jakich powodów sir John Severn ani jednem słówkiem nie wspomniał o Dafne Chester.

V.

Więzy małżeńskie.

Pewien filozof obliczył że jedne usta, nawet nie mówiące zbyt prędko, mogłyby dostarczyć dziennie materyału na gruby tom in-octavo.

Przyjmując tę daną, łatwo obliczyć szybkość z jaką się rozchodzą wiadomości w miejscowości bardzo zaludnionej, obejmującej dwadzieścia mil długości a sześć szerokości.

Nazajutrz rano, zanim sir Severn skończył śniadanie, każdy z obecnych w oberży w której zamieszkał, opowiedział mu w zupełnie odmienny sposób przygodę ocalenia Pawełka Chester, z najrozmaitszemi dodatkami i detalami o starych misses Vansittart i ich sprawach domowych, a szczególniej odnoszących się do Dafne Chester.

Streszczając wszystkie te opowiadania, wnioski i domniemania, oto jak się rzecz cała przedstawi.

Na ośmnaście lat przed rozpoczęciem tego opowiadania, dziecięca duszyczka Dafne Chester zeszła na ten ziemski padół, pod jasnem słońcem Indyi. Matka jej umarła wydawszy ją na świat; ojciec padł ofiarą wojny krymskiej. Nie poległ w bitwie co dziecku nadawałoby prawo do wsparcia, zszedł z tego świata skutkiem przeziębnięcia w wilgotnych, lodowatych fosach Sewastopola.

Jedynem spadkiem biednej czteroletniej sierotki, była nędza i brak innego przytułku nad ten jaki mogły dać jej misses Vansittart, ciotki jej zamieszkałe w Fiof-la-Reine.

„Każdy inny na miejscu Pawła Vansittart, byłby potrafił zabezpieczyć się od podobnych następstw, zawołała unosząc się miss Teodora, odebrawszy wiadomość o śmierci siostrzeńca—jego zaś życie od początku do końca było jednym ciągiem niedorzeczności. Co za sens żenić się z tak wątłą i lalkowatą istotą, która nie umiała wzbudzić w sobie tyle siły, aby żyć dla swego dziecka! Na domiar wszystkiego umarł, i to w tak niedorzeczny sposób że nawet nie wspomniano o nim w raportach!“

Najstarsza z sióstr, miss Izabella Vansittart, swoim lodowatym. grobowym głosem wyrzekła te trzy tylko słowa „przytułek dla sierot.“

Ciocia Hosia przeszła do swego pokoju, przeliczyła maleńki swój fundusik i upakowała swój podróżny tłomoczek.

(d. c. n.)



Pl. 421.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.